

W I A R A

W

młodość

nie jest

grzechem

Przyznaję że i mnie podobnie jak M. Woźniakowskiemu mimo wewnętrznej potrzeby niełatwo przychodzi zabrać głos w dyskusji toczącej się na łamach „Odgłosów”. Ale nie ze względu na jej dotychczasowy przebieg. Mój Boże, zgadzanie się, nie zgadzanie, pewien ferwor polemiczny, może trochę w tym wypadku za ostre, są normalnymi atrybutami dyskusji, główna rzecz polega wszakże na tym, żeby mieć naprawdę coś do powiedzenia. I o to się właśnie boję zabierając głos.

No więc — zgoda na zasadnicze tezy artykułu naszego Kuratora. Istotnie, nauczyciel przypomina nieco sapersa w tym przynajmniej względzie, że często myli się tylko raz. Istotnie, bywają błędy wychowawcze, których odrobic nie sposób i dlatego publiczna dyskusja na ten temat winna być rozważna.

Trudno także nie zgodzić się, na przedstawioną przez M. Woźniakowskiego w skrócie powojenną historię szkoły polskiej. Skądś to już co prawda znamy, ale — jak wiadomo — powtórka w szkole nigdy nie zawodzi. Tym więcej, że Kurator postawił kilka niebyle jakich problemów do rozważenia. Chciałbym rzucić myśli w miarę możliwości rozwinąć i taki jest cel mojej wypowiedzi prokuratorskiej, znaczy — popierającej wywody poprzednika.

OD PAJDOKRACJI DO DEMOKRACJI

Jeden z wcześniejszych dyskutantów L. Włodkowski przytoczył interesującą sprawę „donosu”, który w rezultacie pomógł raczej niż zaszkodził. Oczywiście, nawet

taki „donos” jest niepotrzebny, a już donos prawdziwy trzeba wszelkimi siłami zwalczać, ale nie należy wmawiać L. Włodkowskiemu, a już tym bardziej „Odgłosom”, że donos sankcjonują. To jest typowe nieporozumienie, strzelanie z armaty do muchy. Sprawa polega nie na tym, żeby o takim wypadku milczeć, lecz na tym, żeby takich wypadków nie było. Czemu jednak przytrafił się tego rodzaju donos?

Kurator Woźniakowski zauważył słusznie, że mamy za sobą okres niedorzecznej pайдokracji. Ano mamy, tylko pełnej demokracji ogólnoszkolnej wciąż jeszcze nie mamy. Nie potrafiliśmy rozwinąć bardzo istotnej dziedziny wychowania młodzieży przez młodzież, przez odpowiednio organizację szkolną. Jeżeli kiedyś, w okresie niesławnej pamięci pайдokracji, szalały tu i ówdzie młodzieżowe „mędrki-smędrki”, próbowali wstawiać swoim wychowawcom „kręgosłupy ideologiczne”, to dziś młodzież w stopniu niedostatecznym kształtuje atmosferę wychowawczą szkoły. Owszem, wiadomo, że Pipsztycki jest niegrzeczny, wysypał w klasie „proszek kichający”, a Iksińska przeciwnie — grzeczna, posłuszna, caczana, buzia w ciup, rączki w mały ryk. Tylko, że Iksińska nie wpływa bezpośrednio na niegrzecznych, młodzież nie wychowuje się przez zorganizowane, świadome celu, oddziaływanie na siebie.

Jest więc młodzież, nie ma ruchu młodzieżowego. Bądźmy zresztą sprawiedliwi — za mało tego ruchu. Owszem wiemy — działają z rozmaitym powodzeniem samorządy, wiemy, ZMS rozbudził

uczynność społeczną uczniów, organizuje obozy, to i tamto, podkul licealistów w tanicach nowoczesnych, ale młodzieży jeszcze nie zdobył. Nie wiem, czy w szeregach ZMS znajdziemy więcej niż 15 procent młodzieży łódzkich szkół średnich. Dlaczego? Jak zwykle, gdy chodzi o zorganizowany i powszechny ruch, mniej znaczą dobre chęci, nie brak ich przecież w kierownictwie ZMS, lecz przede wszystkim sens pracy, jej koncepcja przewidująca odpowiednią rolę młodzieży w tworzeniu ideowo-wychowawczej atmosfery szkoły.

A dlaczego jest jeszcze kiepska koncepcja? Wierzymy, że lepiej od nas, zwykłych sobie publicystów, odpowiedzą działacze ZMS, których zapraszamy do dyskusji. Zapewne nie był to główny odcinek działalności ZMS. Trochę niedoceniany, sprowadzany do liczmanów, wykazów posadzonych drzewek, splantowanych metrów kwadratowych ziemi itp. To są zresztą sprawy ważne i pożyteczne.

Rzecz jednak na tym kończyć się nie może. Jeżeli mówimy o szkole zreformowanej, zoligowanej maksymalnie do życia, to owo zbliżenie musi oznaczać coś więcej niż tzw. technizacja, młotek, laubzga, czy obrabarka w ręku. Chodzi o czynne kształtowanie norm i postaw moralnych nowoczesnego chłopca i dziewczyny przez nich samych, o pomoc nauczycielowi. Proszę pomyśleć: Wacek i Franek wagarują, nie pilnują ich rodzice. Wojtusiu przewrócił się w ławie, bo mu ojciec skuter kupił, wozi na wakacje po kraju i zagranicę, no i lekceważy nauczyciela, który do rabin na koloniach letnich. Ale nie ma kota, lecz sama jest kociakiem auto-stopowym. U Mici rodzice się biją, dziewczyna załamana psychicznie, ktoś tam popija, może to ma po szanownym tatusiu, a może wykształcił się w republice kolegów. Proszę pomyśleć — to wszystko ma rozwiązać nauczyciel? I nie pomylić się? Oczywiście, błędy kosztują, za błędy trzeba odpowiadać. Wszyscyśmy jednej matki dzieci, lekarze, kelnerzy, sądziowie i nauczyciele. Lecz błędy można eliminować umiejętnie oddając załatwianie niektórych problemów wychowawczych w ręce samej młodzieży. Doprawdy, nie wszystko co wiąże się z wychowaniem powinno spoczywać na głowie nauczyciela. Aby jednak zdjąć część ciężarów z głowy wychowawcy musi, zgodnie z moż-

Dokończenie
na str.
2

odgłosy

tygo-
dnik
Łódzki

Nr 2 (202)

Rok V. ŁÓDŹ, 14 stycznia 1962 r.

Cena 1 zł



Fot. W. Biliński



Szkoła na Stokach

Fot. W. Biliński

W NUMERZE:

- KRAJOBRAZ POTRÓJNY —
W. Adamieckiego na str. 4 i 5
- O NOWYCH SPOSOBACH LECZENIA
RAKA na str. 2
- DO YOU SPEAK ENGLISH str. 6
- WIERSZE WALEŃCZYKA na str. 6
- JÓZEF RZETELSKI — WSPOMNIENIA
na str. 7
- O MUZYCE na str. 7
- O POLITYCE KULTURALNEJ na str. 8
- „KRÓLOWĄ NA WIŚLE UTOPIĆ”
na str. 8
- DOKOŃCZENIE „WORKA JUDASZÓW”
na str. 8—9
- FILM, TELEWIZJA, ODGŁOSY TYGODNIA

WIARA w młodość nie jest grzechem

Dokończenie
ze str. 1

liwościami, podzielić między siebie obowiązki trójca prze- najwazniejsza — pedagog — rodzice i młodzież.

Pozwoliłem sobie zwrócić uwagę na możliwości samo- wychowawcze tkwiące w młodzieży, o rodzicach pew- nie ktoś jeszcze napisze. Ro- zumiem, dystans pomiędzy katedrą i ławką musi być utrzymywany, jak szkoła szkoła tak zawsze było, lecz może to być dystans krótszy i ser- deczny, oparty na współdzia- laniu ze zorganizowanym i celowym ruchem młodych. Rozumiem też, że łatwiej na- rzekać na nieboszczkę paj- dokracie niż ukształtować przekonanie u chłopca czy dziewczyny, że czynnie współtworzą atmosferę szko- ly. Czy jest inna droga do nowocześnie, socjalistyczne go zakładu nauczania? Myślę, że w szkole, gdzie mło- dzież ma coś do powiedzenia, donosów z pewnością nie bę- dzie. Tymczasem, jeśli cho- dzi o wewnętrzną demokra- cję — szkoła cofnęła się.

MALOWANE WROTA I WOL

Kurator Woźniakowski wspominał także o kadrach. Raczej ze smutkiem wspom- niał. To prawda że młodzież rzutka i inteligentna nie ma- rzy na ogół o zawołaniu na- uczycielskim. Marzy nie ma- rzy, ale do szkoły idzie, ta- mka także. Idzie, bo musi, chociażby młodzież po- wyższych studiach. Nieco inaczej przedstawia się sy- tuacja w studiach nauczy- cielskich i wymierających już liceach pedagogicznych.

Nie chcę ulegać modzie, nie będę więc narzekał na młodzież, która po takich, czy innych studiach przekra- cza próg szkoły, aby uczyć i wychowywać. Przypomina mi się w tym miejscu pew- nien dyrektor, który o przy- szłej młodzieży nauczyciel- skiej tyle tylko miał do po- wiedzenia, że dziewczęta za- chodzą w ciążę, większość pali papierosy, a mężczyźni dlatego idą do studium na- uczycielskiego, żeby uciec od wojska. Innymi słowy — kto jest dorosły nie może mieć dzieci, pali tylko cichcem w ubikacji, ponieważ chodzi jeszcze na półwyższe studia, korzystanie zaś z dekretu państwowego stanowi dowód obciążający. Jest to, moim

zdaniem, gombrowiczowskie wystawianie przyszłych nau- czycieli do pupy.

Nie podejmuję się mówić, jak dalece przygotowuje uniwersytet przyszłego nau- czyciela, funkcje wyższej uczelni z natury rzeczy są bardzo złożone, zadanie nad- miernej pedagogizacji stu- diów byłoby może nie na miejscu. Faktem jednak jest, że wychowankowie, panowie magistrów również ci rzut- cy i inteligentni, (kurator zgodzi się ze mną, że na uniwersytecie bywa energicz- na i bystra młodzież) patrzą na szkołę jak nie powiem co na malowane wrota, giną w gąszczu trudnych spraw współczesnego wychowania, uczą się niejako po raz dru- gi, bywa — u starszych nau- czycieli, bywa — uczą się sami na przekór rutynie i skostnieniu. Bywa wreszcie — wcale się nie uczą. Co można dla przyszłego nauczy- ciela zrobić na uniwersyte- cie — rzecz dla pracowników nauki, niechże się i oni wy- powiedzą.

Nim to nastąpi chciałbym zauważyć, że sytuacja w łód- kich ośrodkach kształcenia nauczycieli jest niepokojąca. Oto kilka charakterystycz- nych cyfr, analizowanych zresztą przez egzekutywę KL PZPR. W I-szym Studium Nauczycielskim 58 proc. nau- czycieli pracuje tu tylko do- datkowo, w II-gim SN — 56 proc. W Liceum Pedagogicz- nym tylko dwóch nauczy- cieli posiada etaty, reszta sobie dochodzi. Tu, tam i ó- wdzie. Inaczej mówiąc, obraz w których, bądnym przez chwilę i my patetyczni, wy- kuwa się kształt przyszłego wychowawcy — mają około 40 procent stałych wycho- wawców, pozostali, najczę- ściej kilkunastolatcy, by- wają godzinę, dwie, albo trzy i na każdego pierwszego.

Wiemy jak bardzo niedo- rzeczne są programy nau- czania w studiach nauczy- cielskich, daleko jednak ba- dziej niedorzeczna jest na- sza własna polityka kadrowa w tym zakresie. Dodajmy jeszcze 20 procent nauczy- cieli w wieku emerytalnym, a będziemy mieli obraz tych kuźni. Oczywiście, obraz nie- pełny. Trzeba by jeszcze do- dać, że w tych warunkach na palcach obu rąk można policzyć nauczycieli aktyw- nych w pracach społeczno- politycznych, że brak jest koncepcji pracy kół nauko- wych i ZMS. Wierzymy w końcu dyrektorowi który po- wioda: młodzież pisze prace dyplomowe, ale nie rozumie ich, wykładowcy także nie rozumieją.

W tym stanie rzeczy, kie- dy owe kuźnie kadr pedago- gicznych przypominają nieco instytucje synekuralne, cier- pi przede wszystkim młody nauczyciel. Nie zajmują się nim w stopniu dostatecznym wspomniani już i skądinąd zasłużeni „latający Holen- drzy”, najlepiej zresztą plat- ni, spośród nauczycieli. Nie dziwnego, że zdarzają się później, już na gruncie szko- ly, wypadki, przykre pomył- ki wychowawcze. Ale na mi-

łość boską, nie mówmy, że tam gdzie sobie władze oś- wiatowe nie poradziły, win- nien jest publicysta.

RUCH, CZY BEZRUCH?

I jeszcze kilka słów o mło- dych nauczycielach. Rozu- niem względność tego poję- cia. Bywają młodzi i starzy i starzy młodzikowie, co zresz- tą nie zawsze stanowi zaletę. Najwięcej jednak mamy, mó- wiąc ogólnie, młodych nau- czycieli z wyższym wykształ- czeniem, wychowanych już w Polsce Ludowej. 70 procent łódzkich wychowawców li- czy mniej niż 40 lat. To są już ludzie doświadczeni, by- wa często, że 30-letni nau- czyciel ma za sobą siedem lat pracy, starszy o pięć lat, ma ich więcej.

Ale to nie jest doświad- czenie w pełni wykorzystane. Proszę tylko zauważyć. Na 147-miu kierownikach łódz- kich szkół podstawowych tyl- ko 25-ciu posiada wyższe wykształcenie, a nauczycieli po studiach pracuje już 22 proc., przy czym procent ten rośnie. Coś tu nie jest w por- ządku. Spośród 313 dyrek- torów i kierowników — młodszych na palcach poli- czyć. Do 30 lat życia znaj- dziemy zaledwie 16. Od 30-40 lat — zaledwie 98. Natomiast w wieku 50-60 lat — 139 osób, ponad 60 lat — 52 kierowników i dyrek- torów. I tu coś nie jest w porządku.

Helektro publicysta dotyka spraw tego rodzaju — pada- ją zarzuty, że to atak na za- sługach pedagogów, mło- dą pisana a nie uczciwym piórem! Chcę się więc zas- trzec, żywię wielki szacunek dla wieloletnich wysiłków pedagogicznych, a poza tym rzecz na czym innym po- lega. Trzeba młodym nauczy- cielom, a więc zdecydowa- nej większości, okazać więcej niż dotąd zaufania, podobnie jak w wypadku samej mło- dzieży, o czym pisałem na początku.

Tam, gdzie jest to moż- liwe, otworzyć pole do dzia- łania młodemu wychowaw- cy, niech próbuje dyrek- torskiego chleba. A może to co nazywamy naturalnymi cechami młodości, jednak is- tnieje i da pozytywnie znać o sobie? Może to jednak prawda, że starszy brat le- piej zrozumie kłopoty okresu dojrzewania niż zająca ciocią rezydentka? Dla walki o fer- ment wychowawczy w szko- le, świeży eksperyment, sto- sowanie nowych technik wy- chowawczych z pewnością lepszą okazję się taktowne, leczące się z człowiekiem, od- mładzanie szkoły, niż bez- ruch kadrowy, jaki obserwuj- my, niestety, dotychczas. Wiara w młodość nie jest grzechem. Ma natomiast wie- le wspólnego z dobrze pojętą demokracją, z tym stanem szczególnie pożądanym, kie- dy wszyscy nauczyciele i naj- cenniejsza część młodzieży może powiedzieć: nie buduj- my mostów dla pana star- rosty, ale wspólnymi siłami dla siebie.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

prof. dr. Anna
CHRZĄSZCZEWSKA
kierownikiem Katedry
Chemii Organicznej U.Ł.

O:

- CHEMICZNYCH PODSTAWACH ŚWIATA
- WALCE NUKI Z NOWOTWORAMI
- POKOJOWYM ZASTOSOWANIU IPERYTU
- LECZNICZYCH REWELACJACH ŁÓDZKICH NAUKOWCÓW

— Jak wiadomo człowiek (pod względem składu che- micznego) to woda i...

— To przede wszystkim substancje organiczne, a więc pochodne pierwiastka węgla.

— Można więc powiedzieć, że jesteśmy układem wiel- kiej chemii.

— Jak najbardziej. Cały ży- wy świat oparty jest na zwią- kach organicznych. Są to or- ganizmy zwierzęce, roślinne oraz ich składniki, jak np. węglowodany, tłuszcze, ciała białkowe, witaminy, fermenty, a także barwniki, tworzy- wa sztuczne, itp. itp.

— Tworzywa sztuczne? Ależ w takim razie chemia organiczna to prawdziwy „kot w siedmiomilowych bu- tach”. Jaką obrzymią drogę przebyła w okresie ostat- niego ćwierćwiecza!

— Istotnie. Perspektywy naukowe są w dziedzinie na- szej specjalności niezmierzo- ne. Kto wie jakie nadzieje zwiastuje ludzkości najbliż- sza przyszłość.

— A propos nadziei. Sły- szeliśmy o ostatnim osią- gnięciu naukowym pani pro- fesor. Czy można prosić o trochę szczegółów?

— Ma pani na myśli za- pewne środek do walki z rakiem?

— Jak można najbardziej popularnie określić skład chemiczny tej nowej sub- stancji leczniczej?

— Są to pochodne azotolpe- rytu i iperytu, tego iperytu, który w olbrzymich ilościach przygotowali hitlerowcy pla- nując napasnąć na Polskę. Z tego właśnie iperytu droga chemicznych przemian otrzy- mujemy substancje o dzia- łaniu leczniczym — antyra- kowym.

— Jak podała prasa, wśród pięciu najbardziej potrzeb- nych leków do których opar- cowania powinna dążyć lu- dzkość (według ustaleń pre- zesa amerykańskiego Towar- zystwa Popierania Rozwoju Nauki, profesora farmakolo-



gli na uniwersytecie w Ohio — dr Chauncey Leake) znaj- duje się i chemiczny środek przeciwrakowy. Czyżby do- brodziejstwo to miało wyjść z łódzkiej pracowni nauko- wej?

— Próby nad syntetyzowa- niem nowego środka anty- rakowego podjęte przeze mnie i moich współpracow- ników: doc. dr. W. Kirkora, mgr. R. Skowrońskiego mgr. W. Dawida, mgr. W. Szalec- kiego mgr. N. Icka, a ostatnio i B. Muszkiet, są częścią skła- dową ogólnowiatowych ba- dań naukowych, zmierzają- cych do skutecznego zwal- czenia tak groźnej choroby, jaką jest rak w jego różnych odmianach i postaciach. Przez opracowanie syntez nowych środków antyrakowych kate- dra nasza włączyła się więc do badań jakie prowadzi od lat cały świat naukowy.

Jednakże od opracowania syntez nowego środka do jego zastosowania w lecznic- twie jest długa droga. Do- tychczasowe badania prowa- dzone w Zakładzie Anatomii Patologicznej pod kierowni- ctwem prof. A. Pruszyńskiego przez dr. A. Kurnatowskie- go wskazują na wyraźne dzia- łanie przeciwrakowe nowych leków. Badania te omówio- no na Zjeździe Naukowym

Polskiego Towarzystwa Ana- tomopatologicznego w Szczeci- nie, a streszczenie pracy było już opublikowane.

— Co pani profesor nat- chnęło do podjęcia badań w tym właśnie kierunku?

— Od dłuższego czasu, (a pracuję naukowo już bez ma- la pół wieku) w latach, kie- dy byłam jeszcze kierowni- kiem Działu Syntezy w Woj- skowym Instytucie Przeciwi- gazowym w Warszawie, myśl- łałam w jaki sposób przyjąć z pomocą ludziom zatrutym truciznami wojowymi. Roz- czytywałam się w światowej literaturze naukowej, podej- mowałam różnego rodzaju doświadczenia chemiczne, wreszcie w 1958 roku opu- blikowałam pierwszą pracę na temat nowego środka an- tyrakowego. Od tego też czasu katedra nasza stale pra- cuje nad tym zagadnieniem i będziemy wszyscy bardzo szczęśliwi, jeśli syntetyzowa- ny przez nas nowy środek antyrakowy okaże się pomo- cny w walce z tą groźną chorobą.

— A inne osiągnięcia nau- kowe katedry?

— Syntetyzowaliśmy szereg podstawowych nowych sub- stancji dla produkcji nowych barwników. Zrobiliśmy też dużo i to całkowicie bezin- teresownie, dla okolicznego przemysłu organicznego, da- jąc interesujące przemysł za- gadnienia jako tematy prac magisterskich naszym stu- dencjom. Opracowaliśmy również syntezę nowych związków o przypuszczalnym działaniu leczniczym na zle- cenie VI Wydziału PAN i Zjednoczenia Przemysłu Far- maceutycznego „Polfa” w Warszawie. W ciągu 15 lat istnienia katedry opubliko- waliśmy około 70 prac nau- kowych z różnych dziedzin. Podjęliśmy również badania nad chlorowcami t.j. związkami, wśród których znalazłono i bardzo skutecz- ne środki lecznicze, takie np. jak środek do walki z rzęsistkiem pochwo- wym. Skuteczność tego no- wego środka została wypró- bowana na 2 tys. pacjentek. Badania te były prowadzone w Zakładzie Biologii i Parazytologii Doświadczalnej Akademii Medycznej w Ło- dzi pod kierownictwem prof. dr. R. Kadłubowskiego. Doś- wiadczenia te z dużym po- wodzeniem i ofiarnością prze- prowadziła adiunkt dr. A. Kurnatowska.

— Jak wynika z tych in- formacji katedra chemii or- ganicznej UŁ współdziała ściśle z innymi katedrami naukowymi wyższych uczel- ni...

— Współpraca ta jest wa- runkiem i podstawą naszych sukcesów. Bowiem również i nauka nie może odejść się od świata, zasklepić w wąskich ramach teoretycz- nej specjalizacji, ale pamię- tać winna o celu, któremu służy. Celem tym zaś jest świat i jego największa, naj- piękniejsza wartość t.j. czło- wiek.

Rozm. K. WYRZYKOWSKA

ALEKSAN DER POSTOŁOW

TRUDNA MŁODOŚĆ

Wino im starsze tym lep- sze — twierdzą koneserzy. To też w noc sylwestrową czy sobotę karnawalową, konese- rzy badają skrzętnie etykie- ty omszałych flaszek. Wino musi być dostate, klarowne, przejść przez okres fermen- tacji, w przeciwnym razie paruje smak i żóładek. Ja jednak nie o winie ani o cierpieniach gastrycznych, choć również o fermentacji. Ma- my właśnie poza sobą pię- cioletni okres fermentacji. Wy- dawnictwa Łódzkiego. Czy coś się w działalności edy- torskiej wyklarowało? Ano zobaczymy.

Urodziła się ta placówka w styczniu 1957 roku. Dziecko było rachityczne, wątłe i nie cieszyło się specjalną opieką. Tolerowano je laskawie, ale nie wrócono na długiego ży- cia, bo to i stolica blisko i środowisko bez tradycji. Pierwsze kroki dziecka były chwiejne, niepewne. W r. 1957 zaledwie pięć książeczek no- siło na sobie insygnia WL. Był między nimi Dumas, by- ła Rodziwiczówna, Gasiorow- ski i tylko jedna pozycja łódzka — środowiskowa: Bi- blioteka Poetów. W roku na- stępnym już 21 pozycji ze zna- kiem WL poszło w świat. Jest i Duninówna, poświęcająca swe gawędy dawnej Łodzi, jest Słobadnik, Sikiryci, Pie- chał. Daleko więcej jest jed- nak książek świadczących o chwiejnych, niezdecydowanych jeszcze poszukiwaniach. Bur- netta „Mały Ierd”, K. Lam-

ba „Czary Prospera”, A. Tol- staja „Upiór” obok Dumasa nie pozwalają określić kierun- ku, w jakim młoda placówka zmierza. Lecz szczęśliwie fa- ta czuwała nad dzieckiem. W r. 1957 zostaje ogłoszony konkurs na powieść współczesną. Był to pierwszy tego rodzaju kon- kurs po roku 1956, toteż chwycił. Pokłosie stanowił tron produkcji roku 1959. „Życie duże i małe” Wilhel- ma Macha, „Ucieczka” Leona Gomolickiego, „Nigdy na świe- cie” Aleksandra Minkowskie- go, Kaczyńskiej „Z ziemi i deszczu”, Kabata „Za dużo słońca” i inne powieści z po- kłosia konkursu obiegają kraj, są żywo dyskutowane, zyskują aprobatę lub desapro- batę nade wszystkim zaś sy- gnaлизują wejście na rynek księgarski młodej placówki edytorskiej. Wydawnictwo o- krzepło, zdobyło sobie ostro-

gi. W roku 1959 staje się sa- modzielną placówką państwo- wą.

Ale początek zaczyna się dopiero teraz. Dotychczas pla- cówka była ekspozycją Od- działu Związku Literatów, mia- ła więc zaspokajając przede wszystkim wszelkie potrzeby środowiska literackiego. Oczy- wiście szukała sobie szersze- go miejsca i jak widać za- zęła się specjalizować w li- teraturze najnowszej. A te- raz — z chwilą upaństwowie- nia — postawiono przed Wy- dawnictwem nieco odmienne, — nie zawsze zbieżne z po- przednimi — założenia. Wy- dawnictwa terenowe — do ta- kich bowiem zaliczono i na- szą placówkę — miały przy- czynić się do ożywienia życia kulturalnego regionu poprzez wydobycie tradycji, specyfiki i problematyki kulturalnej.

Miało więc Wydawnictwo uwzględnić szeroko pojęty interes regionu, co nie zaw- sze znajdowało zrozumienie u dynamicznego środowiska li- terackiego, dodajmy, jeszcze — w większości od niedawna związanego z naszym miastem. Zresztą jeśli inne regiony na- szego kraju mają swoje wy- raźnie określone zainteresowa- nia i znane wszystkim trady-

cje, to w naszym mieście, młodym przecież, ustawicznie zmieniającym swe oblicze, rozwijającym się w naszych oczach, trzeba dopiero szu- kać korzeni obecnego roz- wójtu.

I Wydawnictwo zaczyna szu- kać. Powstaje nowy dział któ- ry już w 1960 r. sygnalizuje swe istnienie takimi pozycja- mi, jak „Promieniści” Stani- sława Gajka, Adama Kowal- skiego „Pamiętnik nauczyciela”, Stanisława Rapalskiego „By- łem w piekle”, Jakuba Po- znańskiego „Pamiętnik z getta łódzkiego”, Wandy Lipiec „Zel- wercwicz i scena łódzka”. W 32 wydanych w 1960 r. po- zycjach — tradycje Łodzi bio- rą jeszcze niewielki udział, zresztą są poświęcone oku- pacji, czasem stosunkowo bli- skim, dla wielu łódzian jesz- cze nie zasługującym na naz- wę „tradycji”. Ale już w trak- cie poszukiwań okazuje się, że pod pozornie jadową gle- bą kryją się całe pokłady ciekawych tematów. Idą więc w świat „Legenda Geyerow- ska” A. Berkowicza, przyczy- nek do historii fortun łódz- kich fabrykantów i S. Pest- kowskiego „Wspomnienia re- wolucjonisty”, jeden z najcie- kawiejszych dokumentów walk 1905 r., W. Jażdżyńskiego

„Umarli nie składają zeznań”, dramatyczna opowieść o wal- kach z podziemiem w trud- nych latach powojennych. Wkrótce ukażą się na półkach księgarskich „Studia i ma- teriały do dziejów Łodzi” pod redakcją P. Korca, L. Kar- wackiego „Walka o władzę w Łodzi”, W. Bortnowskiego „Na tropach łódzkiego września”, B. Grancarskiej „Fortuna ko- lem się toczy” (trzech o bu- dowie odnogi kolejowej Łódź- Fabryczna), G. Misalowej „Studia nad genezą powstania łódzkiego okręgu przemysło- wego” i A. Ginsberta mono- grafia pt. „Łódź” poświęcona tradycjom i problematyce ko- munalnej naszego miasta.

Okazało się, że Łódź ma bogate tradycje nie tylko w dziedzinie rozwoju naszego przemysłu, walk klasy ro- botniczej, ale także i w dzie- dzinie kulturalnej, toteż roz- piętość tematyczna prac no- bą

Dokończenie

na str.

EWA OSTROWSKA

„ZUZANNA i CHŁOPCY“

Interpretować parodystycznie można każdy scenariusz. Chądzyńskiego „Zuzanna i chłopcy” aż prosi się o podobną relację. Bo oto: Zuzanna jest obiecującą gwiazdką polskiej kinematografii uświetniającą swoim przyjazdem górski jazz-camping. Chłopcy dzielą się na dwie grupy: tych, którzy nie kochają się w Zuzannie, pozostając wszakże entuzjastycznymi zwolennikami jej urody i... talentu, oraz tych, którzy kochają się w Zuzannie. Dla akcji filmu ważni są oczywiście ci ostatni i dzięki nim nawiązuje się intryga. Z tych kochających wyodrębnia się następująca podgrupa — dwóch męskich przyjaciół speleologów: Karola i Marka, tudzież niemęskiego uczestnika campingu Filipka.

Filipek kocha Zuzannę beznadziejnie. Jak średniowieczny trubadur z przykłękiem obuwa jej stopy w szpilki. Ponadto nosi za nią walizki, koce, leżaki. A ponieważ Zuzanna przekłada typ mężczyzny bezwzględnie nad wiernopoddaną miłość, przeto nie wzruszają jej cierpienia młodego Filipka. Bezwzględny mężczyzną reprezentuje speleolog Karol i z kolei gwiazda jemu — zdejmując buty, oferując jeszcze przepierkę skarpetek (poświęcenie kochającej kobiety!). I „te pe” aż do właściwej akcji rozgrywającej się we wnętrzu podziemnych groć, którą polecam wszystkim zainteresowanym prześledzić we własnym zakresie i własnym kosztem.

Nie ulega wątpliwości, że film przewiduje dla każdego coś miłego. Melomani otrzymali możliwość patrzenia i słuchania samego Matuszkiewicza; wielbicielki Pawlikowskiego mają możliwość podziwiania go z profilu, an face, w roli schroniskowego acz, eleganckiego (nieskazitelny, czarny garnitur, biała koszulka, krawat, spinki) portiera; ponieważ Ewa Krzyżewska prezentuje podróżne toalety łącznie z kostiumem kąpielowym, miłośnicy wielkiej przygody otrzymują pełne napięcia sceny w grocie, zwolennicy konfliktów również nie mogą narzekać na brak tychże: zazdrość, przyjaźń kontra miłość; wszystkie na tle jednej polskiej gwiazdy.

Szkoda. Szkoda starań i wysiłków reżysera Możdżeńskiego, gdyż nawet po oczyszczeniu fabuły filmu, z efekciarstwa, pretensjonalności, sztucznych psychologizmów nie dałoby się zrobić... filmu. Tym bardziej szkoda, że pod względem reżyserii — a jest to debiut Możdżeńskiego — „Zuzanna i chłopcy” przedstawia się bez zarzutu. Zresztą Możdżeński pierwszą część filmu traktuje z wyraźnym przymrużeniem oka; lecz od momentu, w którym scenariusz narzuca konwencje „dramatu psychologicznego” filmowi nie pomagają ani starania reżysera, dobry montaż, ciekawe zdjęcia nowych dla widza plenerów podziemnych groć, ani wreszcie bardzo kulturalnie zinterpretowana przez Adama Hanuszkiewicza rola pozytywnego bohatera. Plućńskiego lepiej pominąć milczeniem, zaś o Krzyżewskiej trudno powiedzieć, że gra; wystarczy, że jest w filmie i w czołówce.



MIESZANKA
FILMOWA

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

„Kryptonim CICERO“

Tego filmu nie potrzeba reklamować — historyjka na podstawie, której Amerykanin Michel Wilson napisał scenariusz znana jest u nas między innymi z popularnych wydań „Biblioteczki Złotego Tygrysa”, dostępnej dla każdego w każdym kiosku „Ruchu”. Kierownicy kin wyświeflajacy „Kryptonim Cicero” nie potrzebują narzekać na brak kompletów widzów na widowni. Historia działalności zaufanego lokaja brytyjskiego ambasadora w Ankarze, stolicy neutralnej, w czasie drugiej wojny światowej, Turcji

— jest rzeczywiście ciekawa. Kulisy drugiej wojny intrygują coraz to bardziej pikantnymi szczegółami toczącej się nie tylko na frontach wojny, ale także w zaciszu luksusowych „mbasad” i w egzotycznych zaulkach Ankar, czy Konstantynopola, jak jest w filmie reżysera Josepha Mankiewicza, autora znanych u nas — „Bosonogiej Confessy” i „Wszystkiego o Ewie”.

Szczegóły autentycznych wydarzeń związanych ze sprzedażą tajnych planów alianckich, a między innymi planu inwazji aliantów w Normandii zostały podane w formie błyskotliwego filmu sensacyjnego, zręcznie wyreżyserowanego, odznaczającego się dobrym tempem, a przede wszystkim filmem bardzo dobrze granego przez takie znakomitości filmowe jak: Danielle Darrieux i James Mason. Szczególnie główna rola Masona ciekawie i niebanalnie zinterpretowana stanowi jeden z głównych walorów tego filmu. Rola człowieka grającego z tajemnicą, wojakowi, z tysiącami funtów szterlingów, z agentami wywiadów — brytyjskiego i hitlerowskiego, wreszcie ze zmiennością uczuć i przebiegłością kobiecą, narzucałaby chyba wiele rozwiązań akorskich, przeróżnych gier. James Mason wybrał sposób interpretacji roli dość trudny, polegający na nieujawnianiu jakichkolwiek wewnętrznych uczuć bohatera. W ciągu całego filmu oglądamy niemal zawsze chłodną z ironicznym półuśmiechem twarz by w finale usłyszeć i ujrzeć śmiech człowieka „wyśadzonego z siódła” przez jeszcze jedną wielką mistyfikację.

hitlerowców — przez fałszywe funty szterlingi.

Ostatnie może nie przez wszystkich zauważone wydarzenie, dopisało dalszy ciąg tej historii. Otóż nie tak dawno były pracownikiem ambasady brytyjskiej w Turcji z czasów drugiej wojny, wystąpił na drogę sądową przeciwko rządowi zachodniomocieckiemu.



mu domagając się odszkodowania za straty poniesione w wyniku otrzymania fałszywych funtów szterlingów. Tak więc, idąc po linii politycznej rządu NRF egzekwującego między innymi gestapowskie listy gończe na członkach Ruchu Oporu, były lokaj oznaczony przez Ribentropa kryptonimem „Cicero” chce otrzymać należność jaką mu jest winna była hitlerowska Rzesza, a co za tym idzie obecny rząd Adenauera, spadkobierca i wierny kontynuator hitlerizmu. Filmowy „Kryptonim Cicero” nabiera w kontekście tego wydarzenia, jeszcze jednego waloru — aktualności.

odgłosy str.
3



Studentka Krakowskiej Szkoły Aktorskiej Krystyna Mikołajewska, występująca w filmie „Jadą goście”. Fot. W. Rozmysłowicz

Trudna młodość

Dokończenie ze str. 2

wego działu jest bardzo duża. Główny wysiłek Wydawnictwa szedł jednak w kierunku wydobycia tych kart historii Łodzi, które wynikają z charakteru naszego miasta, a jednocześnie wniośły z sobą nowe treści także i dla całego kraju. Walci klasy robotniczej tak charakterystyczne dla okresu sprzed I wojny światowej i lat międzywojennych znajdują swoje odbicie w książkach, o których już pisałem. Im są też poświęcone pozycje, które są dopiero w przygotowaniu, a więc „Strajki łódzkie” autentyczne wspomnienia uczestników, czy też „Lecna Karwackiego” „PSS-lewica w Łodzi do 1918 r.”

Ale tradycje tradycjami, a życie marzuca nową problematykę i ustami czytelników domaga się od nas odpowiedzi na szereg aktualnych spraw. Salomona Lastika „Czy Sodoma i Gomora” to cykl poświęcony dzisiejszej obyczajowości, zwłaszcza wśród młodzieży, Waldemara Babinicza „Listy z parafii” to książka o zastępie polnej obskurantyzmu, głuchej prowincji, Marianna Podkowińskiego „Na ostrzu noża” to rzecz o rewizjonizmie niemieckim, Tadeusza Papiera „Zielony szlak” — to szereg obrazków z wsi dzisiejszej, z jej złożoną, nieznaną jeszcze większości czytelników problematyką, i wreszcie „Apostołowie” ukazują nam trudne zadania i pracę nauczyciela na wsi.

Współczesność i jej problematyka — oto postulat, jaki stawiamy przed sobą także i w kontekście do literatury pięknej. Postulat niełatwy, zwłaszcza że tę współczesność rozumiemy jednoznacznie jako treści zaangażowane w stosunku do naszej rzeczywistości — zrozumiałe dla szerokiego kręgu czytelników. Właśnie próby realizacji tego postulatu, skierowanego w stronę dyskusji, były przyczyną niejednej kłopoty, książek niedużych, pozycji z których startowano do ataku na młodą prozę. Czasem bowiem współczesność była pozorowana tylko w modnej formie antypowieści, czasem zaś — zwłaszcza mniej doświadczeni autorzy szukając nowych treści nie dbali o wyraz artystyczny.

Ale obok błędów były i sukcesy. Zdobyliśmy szereg autorów dla prozy współczesnej, tak ze środowiska łódzkiego, jak i z ciałychch ku naszemu wydawnictwu województwa północnych. Właśnie u nas stawali pierwsze kroki jako prozatorzy Wiesław Jażdżyński, Bernard Sztajnert, Andrzej Brycht, Tadeusz Chrościelewski, Ryszard Klimczak, Jerzy Bobrowski i inni. Wraz z nimi rosła i rozwija się środowisko łódzkie. A, że jest ono dużym skupiskiem poetów, Wydawnictwo Łódzkie poświęca poezji sporo uwagi. Almanach „Rzecz Poetycka” i liczne tomiki wierszy, jak również młodzi, debiutujący u nas twórcy są pokazną częścią naszego dorobku.

Gdy z perspektywy pięciu lat spojrzymy na sto dwadzieścia parę książek, które opuszczyły nasze Wydawnictwo, gdy zestawimy dorobek lat ostatnich z początkami to zobaczymy, że przeważa w nim nurt współczesności, gdyż nawet w tradycjach, do których sięgamy tkwią jej korzenie. W tym upatrujemy główne zadania, jakie mamy do spełnienia, wnosząc oczywiście do współczesnego życia naszego kraju właściwy dla naszego miasta koloryt. Jak widzicie wino się ustalo przeszliśmy okres fermentu, mamy skryształizowany program. Czy wino nasze będzie wszystkim smakowało, czy zadowoli wszystkie podniebienia — nie nam o tym sądzić. My w każdym razie o to zabiegamy.

ALEKSANDER POSTOŁOW

str. 4 **odgłosy**

WOJCIECH
ADAMIECKI

KRAJOBRAZ PIERWSZY

To już nie jest jego świat. Jego świat był tam, gdzie widać resztki parku i półwyspów basenów stawów, i niewielką budowlę, niepozornie niknącą wśród drzew — wówczas zwaną dworkiem. Jego świat był również tam, gdzie stoją śmieszne małe chałupki, skopowane żywcem z włoskich filmów neorealistycznych, co jest uwagą wielce romantyczną, bo tutaj zostały narzucone jeszcze w latach międzywojennych przez konieczność. I tam był również jego świat — gdzie widać resztki glinianki, nad którą stoi teraz zmechanizowana cegielnia. Wiek stary mężczyzna wywołuje tę przeszłość i nie bez odrobiny przekory w głosie, powiada: „Widzi pan, bo ja tutaj byłem dziedzicem”. Mówi to bez efekciarstwa, takim tonem, jakiego prawdopodobnie użył musiał Ludwik XVI po decyzji Stanów Generalnych, gdy do swego przyjaciela rzekł: „Widzisz, byłem królem Francji!”

Właściwie był przez całe życie pechowcem. I jego ojciec był pechowcem. I jego dziadek też. Cała rodzina Wojciechowskich była wielce pechowa. Sprzymierzyli się z tą ziemią, z umierającą resztką na marginesie wielkiego miasta — ponieważ zbyt przesadne wiązali nadzieje z rozwinięciem tutaj gospodarki. Byli wszak spokrewnieni z innymi rodzinami ziemiańskimi wywodzącymi się jeszcze z dawnych lat pierwszej Rzeczypospolitej, i chociaż wcale się nie pchali w pobliże tego włókienniczego kolosa, to przecież osiedli tu zmuszeni chytrym działaniem na ambicję przyjaciół i krewnych. Powiadali oni: „Musicie się tu osiedlić, tradycja to święta rzecz, nie można dać się wygrażyć”. W ten sposób stanęli na tym arcyromantycznym posterunku, zupełnie nie uwzględniając faktu upływania czasu, i nie pojmując, że szum milionów wrzecion w halach produkcyjnych łódzkiego śródmieścia nieuchronnie zagłuszy kłopot najznakomlejszy nawet resorowanej kolasy, którą przodkowie pana Ireneusza Wojciechowskiego jeździli w stronę ulicy Piotrkowskiej.

A teraz mówi z gestem znamięjącym zmęczenie: „Ach, proszę pana, w ogóle tu była kiepska ziemia, i bardzo kiepski interes. Płach i glina. Chociaż miejsce, można powiedzieć, historyczne. Tam — pod tymi drzewami w parku zaczęły się kiedyś źródła rzeki Łódki, które teraz już wyschły i w ten sposób przeszły do historii. Panie, jak ja się tu męczyłem! Ojciec właściwie robił co mógł, a chciał żyć z tego miasta w dole, więc zaczął zabawić się w rozmaite przedsięwzięcia handlowe. Mielimy tu stawy, więc ojciec dostarczał miastu łód. Był również torf. Przewoził torfem. Ale tę ziemię

trzeba było nawozić, więc ojciec postanowił dowozić z miasta odpowiednie substancje wozami asenizacyjnymi. Wozy turkotały po drodze ze śródmieścia do nas, a za nimi wlokło się ciężkie pasmo smrodu i nieco ironicznie uśmiechy przechodniów. Och, to był ambitny człowiek. Dorobił się w Łodzi Scheibler, dorobił się ja. To te złote interesy, panie, złote interesy (znowu rozległ gest ręką od dworiku aż po gliniankę). Wtedy to



była dziwna, panie, miejscowość pod Łodzią. Przekłeta okolica.

Legenda przekazała przyczynę tego przekleństwa, a relację o nim przekazała mi stara babcia Wojciechowska, imponująca kobieta, która niedługo skończy 100 lat, a teraz wegetuje w zapelnionym rekwizytami przeszłości mieszkaniu na drugim końcu miasta. Otóż legenda ta w sposób znaczny uwzględnia fakt historyczny. Faktem zaś historycznym jest, że XIX-wiecznym właścicielem tej dzielnicy o nazwie Stoki był dziedzic Stokowski, człowiek pełen rozmachu i bez pieniędzy, posiadający natomiast rycerskie zamiary wobec panny Krapaczówny, z majątku Krapaczów w gubernii Piotrkowskiej. Car był daleko, dziedzicowa zaś blisko, przeto dziedzic Stokowski wykradł ją i porwał na wzór rycerzy okragłego stołu i przywiózł tu, na Stoki.

A stary Krapacz pełen uroczystej i obrażonej dumy rzucił wówczas to przekleństwo, i Bogiem a prawdą — było ono bardzo skuteczne.

Bowiem zaczęły się soliterowane licytacje na mocy wyroków wydawanych w imieniu cara, a gazeta z połowy XIX wieku drukująca ogłoszenia Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, zaczęła zamieszczać serię dramatycznie brzmiących anonsołów o całkowitej upadłości majątku Stoki. Zanotowały

blif plus I rubel ten, który przeważał szalę licytacji.

Ale dziedzic Ireneusz Wojciechowski, ten ostatni, ma teraz do siebie stosunek pełen łagodnej wyrozumiałości i nie jest specjalnie zawzięty na historię, która pozabawiła go prawa do mieszkania w małym dworku.

Natomiast bardzo mu zależy, żeby trafić na bardziej namacalny ślad przeszłości. Przeto prowadzi mnie na ulicę Janosika (te ulice w górski sposób on właśnie ponazywał, po raz drugi w historii rodu Wojciechowskich usiłując zaprzeczyć tutejszemu krajobrazowi, który wyrósł na piaszczystej równinie. Ulica Szarotki w Łodzi? Przecież to nonsens. Cóż, było się romantyzmem). Na ulicy Janosika — powiada — mieszka człowiek, który znalazł się w polskiej poezji. Pan pamięta ten fragment z „Kwiatów Polskich” o panu Malinowskim? Malinowski był kelnerem w jednej z kawiarni na rogu Piotrkowskiej i Nawrotu, i on to podawał zawsze małą kawę Julianowi Tuwimowi. Malinowski odkupił od naszej rodziny dziedziców kawałek ziemi i postawił dom, który stał się jednym z wielu — stłoczonych i teraz zszarzałych już chałup neorealistycznych. Więc podchodzimy do parkanu, w oknie tego domu stoi kobieta, i pan Wojciechowski zagaduje:

— No, a jak tam pan Malinowski. Czy można by się z nim zobaczyć?

A ona ze zdziwieniem uśmiecha się, przeniesiona nagle w odległe czasy i powiada:

— Ach, proszę pana, ten staruszek, tak? On umarł. Trzy lata temu.

— Umarł. To przykro. Ze też ludzie muszą umierać — mówi pan Wojciechowski.

I dodaje: No cóż, dawno nie odwiedzałem ulicy Janosika.

Gdy przyjeżdża tutaj, spaceruje trochę nad dawnymi stawami rybnymi, wita się z ogrodnikiem zamieszkującym jego dworek, i robiącym o nieco lepsze interesy niż jego poprzednicy, wyraża się z uznaniem o dużej ilości beczek kiszzonej kapusty, która ostro pachnie i ładowana jest akurat na 5-tonową ciężarówkę, pyta, czy przypadkiem ktoś pod tym pagórkem, znajdującym się w parku nie znalazł całej serii zakopanych tu wiele lat temu przez niego butelek z wytrawnymi trunkami, coż chyba zostały wykopane — powiada ogrodnik i wraca do swojej pracy.

KRAJOBRAZ DRUGI

Miały niespokojne twarze. Przyjechały tutaj z całej

Polski, przeczytawszy ogłoszenia na parkanach i murach o pracy, która czeka w przemyśle.

Wówczas zaludniły się Stoki nowymi przybyszami. W roku 48, 49 i 50.

Wtedy mówiono o Stokach: zła dzielnica. Zbierania. Lumpy i gangi. Watahy młodych i przedsiębiorczych ludzi wypuszczały się stąd w dalekie okolice. Wieczorami mieszkańcy nie wychodzili na ulice. Zła sława. Taksówkarz i za tysiąc złotych tu nie przyjechał. Te młode gangi wyrośli się wówczas z niewielkich chałup, zamieszkałych przez badylarzy, pończoszników i nie wiadomo jeszcze kogo.

Panował obyczaj picia wina zwłaszcza na św. Józefa. Piło się cienkiego sikacza w wadłach i pobliskich wykopach, w których miały stanąć nowe domy.

W ten sposób dzielnica znalazła się na szlaku dwóch tradycji: między miastem, zbiorowiskiem podmiejskich lumpów i wsią, i dlatego musiała być wówczas zła.

Dworek w parku — chałupa starego Kaczmarka stojąca tuż przy tramwajowym torowisku — i dalej, wejście w ulicę Szczytową — te punkty wyznaczają oś, która jest skrótem historii.

Na ulicy Szczytowej stały hotele robotnicze zamieszkałe przez owe dziewczęta. Budynki z czerwonej cegły, spadek po niemieckim budownictwie półkolezaryum. Parterowe okna chronione są kratami, kolor tej ulicy jest surowy. Młoda kobieta i młody mężczyzna stojący po południu w oknie mieszkania wychodzącego na ulicę niechętnie słyszą twój pytanie, czy został tu tutaj ktoś z tamtych lat do 53 roku, jakieś dziewczęta, które podobno założyły tu rodzinę.

— Ja tam nic nie wiem — odpowie ci młoda kobieta ostrym głosem — ja mam swoje kłopoty rodzinne i co to mnie obchodzi.

Zła sława. Oto przyczyna. Komplex hoteli otoczony był wówczas drutem kolczastym, jak twierdzą patrioci Stoków — wiele było kłopotu. Ale o złej sławie ludzie zapominają i dlatego niczego od nich na ten temat nie wydusisz. Teraz polubili już swoją dzielnice, w jej obecnej postaci, a jest to już postać z innego krajobrazu.

Więc była wówczas ta dzielnica miejscem próby dla owych dziewcząt i stała



sedno rzeczy
MARIAN PIECHAL

HIC EST APOLLO...

Czy piękno to sztuka? Niekoniecznie. Wiele jest pięknych rzeczy w przyrodzie, w naturze, które jednak nie są sztuką. Wiele natomiast jest przedmiotów sztuki, które wcale nie są piękne, ale jednak są sztuką. No, no, namyśli się wprawdzie, że miły czytelniku, zanim w tym miejscu zaoponujesz i wykrzykniesz: „Jak to? Coś podobne-

gol To sztuka nie zawsze jest pięknem?”

A nie zawsze. Podobnie jak piękno nie zawsze jest sztuką. Piękna jest przyroda, a jednak nie jest sztuką. Natomiast odrażająca brzydota oddana w dzieło artystycznym jest sztuką. Wystarczy wspomnieć niektóre dzieła Goyi, Velazqueza albo choćby naszego Bronisława Linke.

Gdyż twórcą sztuki jest i może być tylko i jedynie człowiek bez względu na to, czy tworzy piękno, czy brzydotę, byleby stworzył dzieło artystyczne — przyroda zaś tworzy przypadkowo taki układ rzeczy, który może nam się wydawać pięknym lub brzydkim, lecz który dziełem sztuki nie jest, ponieważ dzieło sztuki jest rezultatem wyobraźni człowieka, jego świadomej woli artystycznej, a więc doskonałego, niż to się dzieje przez przypadek w przyrodzie, kształtowania rzeczywistości. To znaczy nie tylko tzw. wewnętrznego świata człowieka, ale i zewnętrznego.

Właśnie także zewnętrznego. Bo właściwie sama przyroda, sama natura tworzy rzeczy i zjawiska estetycznie podobnie jak i moralnie objęte, ani brzydkie, ani piękne (ani złe, ani dobre) — to tylko człowiek nadaje tym przypadkowym twórcom przy-

rody piękno brzydoty lub piękna (zła lub dobra). Słowem piękno w przyrodzie nie jest immanentne, lecz zależne od człowieka, który pewne zjawiska w naturze uważa za piękne, a inne za brzydkie. Tzw. „artyzm ziemi”, o którym mówił Norwid, jest tworem wyobraźni człowieka, wynikiem jego specyficznego patrzenia na rzeczy i zjawiska. Inaczej na gwałtownie niebo patrzył będzie astronom, widząc tam jedynie stosunki odległości, ruchu i energii, a inaczej artysta, widząc w nim cały ziemski i mitologiczny Zodiak, Olimp zaludniony bogami, nie licząc Małych czy Wielkich Wozów, Tarcz Sobieskiego, Lutni itp. Przecież tego wszystkiego na niebie nie ma, a tylko wyobraźnia ludzka kształtuje owe przypadkowe układy ciał niebieskich w artystyczne czyli sensowne estetyczne proporcje piękna. Tak więc człowiek jest nie tylko miarą, ale i

jedynym twórcą piękna w przyrodzie i naturze czyli we wszechświecie.

A kwiaty — powie ktoś — ich ośniewający przepych barw, form, zapachów? A motyle? A lot orla, skok tygrysa, wdzięk łabędzia, a zozza polarna lub błyskawica — czyż nie są piękne same przez się? Niestety nie. To tylko zmysły człowieka czynią je pięknymi. Zapach róży, na przykład, dla psa jest obrzydliwy. Dla owadów zaś jest przedmiotem delektacji nie estetycznej, lecz przede wszystkim dietetycznej.

A więc piękno, ażeby uzyskać rangę sztuki, musi być przepojone pewną proporcją humanizmu, jego jądrem musi być element doty-



POTRÓJNY

sie również miejscem próby dla młodej działaczki, która przybyła tu z warszawskiej centrali w 1952 roku. Zamieszkała w hotelu. Incognito. Miała zbadać warunki życia. Miała rozwiązać zagadkę. Miała również zdać swój egzamin życiowy.

Zachowała się z tego czasu jej relacja rzeczowa i spokojna. Napisała: „DMR na Stokach zamieszkuje około 230 dziewcząt z 10 zakładów dziewiarskich. Około 65 procent to dziewczęta z fabryki im. Ofiar 10 Września... W mieszkaniu lutym było bardzo zimno, dziewczęta spały po dwie nakryte własnymi płaszczami. Zgodziły się z tym, mówiąc „aby do wiosny”. Jednak poprzez interwencję otrzymaliśmy węgiel, z czego dziewczęta były zadowolone. Były narzekania, że nie wystarcza wody gorącej, by się myć. Około połowy lutego jest gorąca woda...”

W ich życiu następowała wówczas nieustanna konfrontacja postaw i to wcale nie było łatwe. Cytat z relacji: „Dwaj bracia Miszta- le zaczęli nowym sposobem pracować, co daje im większe przekraczanie normy, ale po opisanu ich w gazecie zaczęto im się odgrażać, przysyłano różne kartki na maszynie, w wyniku czego nie pozwolili, by im zrobiono zdjęcie, i w ogóle chcą, by ich zostawić w spokoju, bo inaczej to oni przestaną tym sposobem pracować. Zdarzają się często wypadki, że w przyjeździego aktywistę przechodzącego przez hałę rzuci się szpulka, i nie wiadomo, kto to”.

A gdy w śródmieściu mówiono, że to są złe dziewczęta, to owa działaczka, Halina J. odpowiadała, że przecież przybyły one tutaj dzięki ogłoszeniom w całej Polsce, uczą się zawodu i

chcą pracować. Chcą również, aby się nimi zainteresowano nie tylko w sposób ogłoszeniowy. Pisała: „Wśród dziewcząt jest bardzo rozpowszechnione czytelnictwo książek, ale tylko takich jak np. „Cudowny amulet”, „Wrażenia z pierwszej nocy”, „Najdziśsze serca”, „Ferma umarłych”, „Dzikuska”, „Trędowata” itp. Dziewczęta w internacie narzekają, że od szeregu miesięcy obiecano im wyposażyć świetlice, dać kierownika świetlicy, ale od szeregu miesięcy poza rozbitym pianinem, nie ma nic, w związku z tym uzyniono na moją interwencję niezbędne kroki: do świetlicy dostarczono stoły, krzesła, ławki, kierownika świetlicowego, czyli że świetlica została dobrze wyposażona, z wyjątkiem braku kilku gier”.

W ten sposób zaczął się dla tych dziewcząt początek drogi, były jeszcze dramatyczne zgromadzenia w hotelach, wizyty różnych osobistości, a potem zaczęło się to życie normować, tak jak by coś nagle ruszyło z miejsca.

KRAJOBRAZ TRZECI

— Więc teraz wszystko byłoby dobrze, mieszkać się na tych Stokach da, owszem przyjemnie i powietrze porządne, służy dzieciom. Ale proszę pana, wciąż za mało sklepów, w tych sklepach za mało towaru, więc trzeba wozić z miasta. I ciasnota, że nie dać Boże. Ale tu mają podobno budować, to się może poprawi, teraz już jest inaczej, już chyba jesteśmy trochę bliżej świata. Rozgląda się po zatłoczonym sprzętami mieszkaniu, i przesuwają białe, w której moczy się bie-

lizna, tak aby przybysz ciekawie przeszłości mógł przejść.

Niby wszędzie u nas tak ciasno, ale tu zwłaszcza, bo tu jest robotnicza ulica. Na inteligenckich ulicach, tam po drugiej stronie głównej drogi przecinającej osiedle jest też ciasno. Bo to jest z człowiekiem tak, widzi pan: było źle, jest lepiej, chciałby żeby było jeszcze lepiej. Mój chłopak może się bawić w ogródku jordanowskim. Nastawiali tam rozmaitych huśtawek i poręczy, i zjeżdżalni, no, ale jak przyjdzie do domu, to nie tylko musi siedzieć na tapczanie. Więc niech pan to zrozumie.

A w innym domu również na Szczytowej przybysz także w końcu gościnie zaproszony, po wysłuchaniu szeregu komplementów, co tu się na Stokach zmieniło na lepsze, natyka się z miejscem na rozjątrzonego gospodarza tego domu, który wchodzi do mieszkania swego kumpla i głosem nieznajomym specjalnego zadzwolenia znęca się nad stanem budynku, powiada, że wszystko cieknie, że znowu nawaliło światło, miały cholery przyjąć i naprawić, ale od samego rana jeszcze ich nie ma, co oni sobie właściwie myślą, gdzie tu szacunek dla człowieka pracy, już ja im, tym draniom, pokażę. Wtem widzi obcego — ogromnie się peszy, i powiada, że o rodzinie obcym nie mówi się źle, ale jak pan chce, to ja mogę jeszcze tak długo.

W tym małym pokoiku z kuchnią, stoi znakomite radio, rower wyścigowy pod ścianą, ponieważ gospodarz lubi wyjeżdżać na wycieczki, ale marzy o motocyklu, tu wszyscy marzą o motorach, wszyscy przeważnie pracujący w łódzkich gigan-

tach przemysłowych. Na dachach telewizyjne anteny. Wyrosły one widocznym teras wszędzie lasem metalowych pretów tuż przed rzymską olimpiadą, ponieważ Stoki zamieszkałe są przez patriotów polskiej drużyny lekkoatletycznej, i tę drużynę trzeba było oglądać. Nie, to za łatwo powiedzieć. Telewizor stał się ambicją doprowadzoną często do absurdu. Oszczędza się na telewizor. Odejmuje się od ust na telewizor. Dzieciom nie kupuje się nowego ubrania, bo trzeba mieć telewizor. Skok w cywilizację kosztuje.

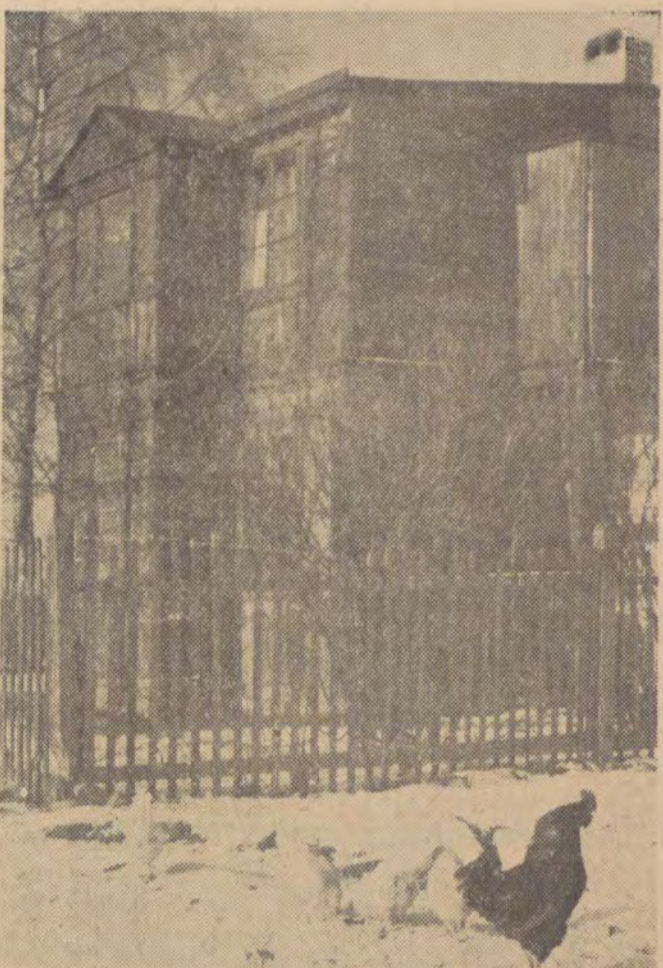
— U nas wszystko albo się zaczyna, albo się kończy. Uwagę tę wypowiedział z zadumaniem sekretarz widzewskiej rady narodowej, mieszkający na Stokach od lat kilkunastu. Potrafi nazwać wielu mieszkańców po imieniu. I tych, którzy pielęgnują trawniki, i tych, którzy zakładają boiska, i tych, którzy znani są z sąsiedzkiego gadania uintensywnionego alkoholem, i tych, na których oko ma milicja, bo czasami rozrabiają.

— U nas właściwie kończy się miasto i zaczyna miasteczko. Ale skończyła się już wieś i zaczęło się życie wielkomiejskie. W drodze do nas kończą się miejskie urządzenia drogowo-techniczne, które pozwalają stawiać mieszkalne domy. Przestaliśmy być odcięci, ale jeszcze nie całkiem zostaliśmy włączeni.

Będziemy pełnoprawną dzielnicą w 1980 roku. Smażąc czasu. Nie zawsze o tym mówię ludziom, bo ta odległość czasu to dla niektórych jak rok świetlny. Są niecierpliwi.

Mieszkańcy są niecierpliwi właśnie teraz, kiedy doczekali się już własnej biografii, i pilnie obserwują topograficzne zmiany w układzie dzielnicy. Topografia urbanistyczna Stoków obejmuje poniemieckie osiedle z ulicą Szczytową, w nim kilka nowych domów, urządzenie pomocnicze: żłobek, przedszkola, ośrodek lekarski, pocztę, i po troszku, miesiąc po miesiącu, więcej sklepów. W górę zaś — ciemnobrunatne osiedle kolejarzy, zostawione tu z przedwojennego spadku po inicjatywie szlachetnej, ale teraz jakże nie wystarczającej. Bawiem osiedle zbudowało Towarzystwo Osiedli Robotniczych, i ta kryła się w owej inicjatywnej myśli — aby wynieść ludzi ze skłębionego śródmieścia tutaj, gdzie trochę więcej zieleni i słońca. I dalej, w stronę południowo-wschodnią, ku Widzewowi — małe domki z ogródkami, też początek innego mieszkania w tym mieście. Dopiero początek.

A największy sukces — trzy budynki szkolne, bo przecież nawiedziła Stoki



plaga dzieci, przyrost największy w Europie, 1600 chłodzi do pierwszej klasy, nauka na trzy zmiany, wszyscy są z tych dzieci dumni, ale jest to poczucie dumy połączone z zażenowaniem i zakłopotaniem.

Więc szkoła to pierwszy atak na tutejszych mieszkańców, którzy są ludźmi z pogranicza dwóch tradycji, co sprawia, że na przykład i dzieci i rodzice z początku nie mogli się przyzwyczaić do wyfroterowanych szkolnych parkietów. A kierowniczka szkoły mówi jeszcze o walce z tradycją „cwiar-ki między kolanami” będącej często jedyną manifestacją kulturalnego wyrobień. A lekarka powie wam o drugim ataku prowadzonym przez ośrodek zdrowia na owe straszne gruźlicze ulice, które znaleźć można w owej części Stoków położonej na samym dole, wśród drewnianych domostw.

— Ale gdy porozmawiamie z mieszkańcami o ich potrzebach, to bez względu na porę dnia i stopień zmęczenia po pracy dowiedzie się, że potrzeba tu wszystkiego, że ten krajobraz z panoramą wielkiego miasta, zamieniający się w śniegową górę zimą, a latem spieczony przez słońce wzbudził wielkie pragnienia i zrodził atmosferę oczekiwania na to co się nazywa kulturą.

Te pytania i odpowiedzi mogą was wprowadzić w sferę utopii, a w każdym razie mogą doprowadzić do niepojednania z rzeczywistością.

— Ale architekt, który obcuje z codziennością tego miasta, i który kreśli swoje plany na wielkich ściennych szkicach, architekt ten mówi, że jest to jedyna utopia zdolna ocalić to skołatanie od tłoku miasta. Trzeba wyburzyć część domów w śródmieściu. Śródmieście

będzie stanowiło głównie biurowo-przemysłową city, natomiast ludziom trzeba dać przestrzeń. Więc kiedyś w przyszłości na tej linii gdzie znajdują się obecnie Stoki powinien wyrosnąć wieńiec jasnych osiedli mieszkaniowych, i dopiero wtedy ten miejski gigant wyrwie się ze swego tradycyjnego losu. Takie domy już się buduje. Na razie bliżej centrum. Tu w okolicy Stoków staną domy dla 35 000 mieszkańców. Architekt z zakłopotaniem stuknął palcem w jednolitą ciemno-brunatną barwę oznaczającą na planie to centrum. Ale to jest gigantyczna robota — powiada.

Ten architekt powinien być dobrym dziećcem czarnym. Bo gdy się przy- padkiem przysiadnie do jakiejś grupy małych ludzi na szkolnym dziedzińcu lub na kortyżu i przy pomocy przyjaznego gestu odwołasz się do ich pragnień, usłyszysz:

— A ja chciałabym żeby tu było kino — to mówi dziewczynka.

— Ale panoramie — głos chłopca.

— I basen, a w nim dużo wody.

— Ślizgawka.

— Takie duże boisko.

— Karuzela przez cały rok.

Karuzela przyjechała dzisiaj po południu. Gromada chłopców jest zafascynowana czynnością układania kabli, którymi popłynę prąd i poruszy kolorowy kołowrót. „Wyrwać mi stąd — woła mężczyzna, który kontroluje złącza kabli — dopiero jutro będzie tu wesoło. No, jazda”.

Szept pod drzewem: — Ty, ile butelek trzeba opylić, żeby starczyło na bilet?

WOJCIECH ADAMIECKI

Zdjęcia: W. BILINSKI



czący bezpośrednio sensu istoty ludzkiej. Sednem piękna w ogóle nie zawsze jest człowiek, natomiast sednem piękna, które nosi wysoki wymiar sztuki jest zawsze i tylko człowiek, zawiłe i ciemne sprawy jego życia, podstawowe i odwieczne, a więc tym samym aktualne, bo nigdy bez reszty nie rozwiążalne, problemy jego istnienia. I to właśnie sedno utworu decyduje o jego nieprzemijalności, a nie jego artyzm. Karol Marks zastanawiał się dlaczego jeszcze do dziś wzruszają nas tak archaiczne utwory, archaiczne przede wszystkim w sensie artystycznym, jak na przykład „Iliada” i „Odyseja” Homera. Przecież ich forma artystyczna czyli środki i sposoby wyrazu należą do najbardziej przestarzałych, muzealnych już dziś elementów i nie one decydują o ich żywotności. Decydują o tym takie sceny odwiecznie ludzkie, a więc wzruszające prawdą przeży-

cia, jak w „Iliadzie” scena pożegnania Andromachy z Hektorem, idącym na rozprawę z Achillesem, czy wizyta starego Priama w namiocie Achillesa z prośbą o zwłok syna albo w „Odysei” scena rozpoznania Odyseusza po dwudziestu latach niewidzenia przez konającego psa Argosa. Nie tak prędko nie starzeje się dzieło sztuki, jak właśnie jego forma, jego sposoby artystyczne. Ząb



czasu napęcznia ciąż w trociny przede wszystkim jego elementy najbardziej przemijalne — środki wyrazu tak bardzo przecież uzależnione od czasu. O trwałości dzieła sztuki decyduje to, co powstało w nim nie z płynnego czasu, lecz z trwałej istoty człowieka.

Czyż jednak „artyzm ziemni” można oddać inaczej, niż tylko przez „artyzm słowa”? Prawda, „artyzmu ziemni” nie sposób wyrazić inaczej, jak tylko przez „artyzm słowa”, nie rodzi się, że tak powiem, przez indukcję z „artyzmu ziemni”, lecz z człowieka. Piękno zachodu słońca na morzu albo katedry Notre-Dame w Paryżu nie jest absolutne, lecz zależne od tego, kto je przeżywa. Im wrażliwszy będzie patrzył nań człowiek, tym bogatsze będzie to piękno. Mickiewicz powiedział w jednym ze swych wykładów paryskich, że aby tworzyć niezwykle dzieła

sztuki lub zobaczyć niezwykle w dziele sztuki, trzeba wśród samemu być człowiekiem niezwykle. Przy- boś określa lirykę jako „por-ryw ku wszechludzkiemu szczęściu”. Dobrze, ale jak się takiego uczucia w sobie nie ma? Czy można tworzyć rzeczy niezwykle, gdy samemu nie jest się niezwykle, lecz przeciwnie — właśnie zwykłym i przeciętnym? Czy każdy, kto chce stworzyć rzeczy niezwykle i nieprzeciętne, ma do tego prawo, a przede wszystkim czy potrafi, będąc zwykłym i przeciętnym? To pod rozwagę najmłodszych amatorów pisania wierszy i tworzenia sztuki, którym się wydaje, że wystarczy chcieć, aby móc, i że można tworzyć wartości w sztuce, nie tworząc ich wśród w sobie, budować estetycznie dzieła sztuki, nie budując estetycz- nie siebie.

Julian Tuwim do artyzmu słowa dochodził poprzez „ar-



tyzm ziemni”, ale niezwykleść artyzmu ziemni dostrzegali tylko dlatego, że sam był niezwykle. Był niezwykle w lirycie, niezwykle w satyrze, niezwykle w wierszach dla dzieci i niezwykle w kon- genialnych przekładach bynaj- mniej nie przez sam artyzm słowa, ale przez niezwykleść

swjej osobowości twórczej, której ludzkie piękno i piękno jest nieprzemijającym elementem wewnętrznym każdego jego utworu. Jest to promieniujące od wnętrza światło — lumen ex anima — które nie zawsze jest widoczne, ale zawsze odczuwalne w swoim dyskretnym cieple, jakie przenika i wiąże z sobą najbardziej nawet zwykły i zwyczajny układ słów. Trzeba być kimś, żeby stworzyć coś. Wtedy i wszystko zwykłe zmienia się w niezwykle — staje się pięknem, które jest sztuką.

Hic est Apollo, solis domus, cui omnia animalia vitam debent.

MARIAN PIECHAL

odgłosy str 5

JERZY WALENCZYK KONFERENCJA

Chodźcie tu, chodźcie,
Zamęty, zaćmienia poszukujące potomstwa,
I ty, ciszo, ratunku oczekiwany,
I wy, wróżby głosem sepieniącym.
Muzyki burz wydłużających się jak proca ulicznika.
Chodźcie tu, cienie, lata kołyszące się jak koszyki
nylonowe,
W dłoniach dziewczyny, chodźcie, dale i widnokręgi,
I wy, niespodzianki, wybuchy na Pacyfiku
przyzwyczaję,
Chodźcie, nim runą planety.
Mnóżcie się, strzępy, mnóż się, mroku, mnóż, światło.
Zastygajcie, wzmianki i ruchy, nim wszystko pęknie
i ruszy,
Chodźcie, anatomie przypominane sprzed okresu
dyluwium,
Księżyc okupowane przez myśl człowieka,
Zwierciadła, pogłoski sprzedanego czasu,
I wy, morza krakające, podejdźcie
Pod moje wargi, pod moje oczy,
Nadejdź, pospiechu ryb,
Ladzie drżący.



STRACH

Nie ma okien ani szczelin, ani drzwi.
Tylko ciemność, tylko ciemność korytarza.
Nie nie czekasz, nie nie wolaś, nie.
O czy myślisz, czego pragniesz, o czym marzysz?

Miedzy ścianą a ścianą sam,
Gdzieś tam w głębi czaią się ciężkie kroki.
I rozsyple się ognisty krzak.
I znów będzie jak na grobie spokój.

Kim jest ten stojący u wylotu
Z okiem mętnym, co zdradza epokę?
Tam, gdzie czoło, lśni już perła potu.
Zostań ze mną — mówi — dokąd chcesz iść, dokąd?

Nie ma okien ani szczelin, ani drzwi.
Ciągłe wolaś: w mój korytarz śliski zabłądź.
I nie nie wiesz, nie widziałeś, nie wiesz nic.
Tu zakwitła dzisiaj w nocy jabłoń.

(Wiersze z tomiku „Trzydzieści wierszy”, który
ukaze się wkrótce nakładem Wydawnictwa
Łódzkiego).

Z nauką języków obcych
rzecz się ma jak z nauką
jazdy na łyżwach. Dla tej
ostatniej, optymistycznym
prognostykiem jest ilość za-
jęć złączanych przez po-
czątkującego amatora, po któ-
rej podobno poznaje się ta-
lent i szanse przyszłego mi-
strza w jeździe szybkiej.
„Obywatelu, zaczynamy od
jakaś” — postuluje meto-
dycy; zaś zainicjowana przez
„Politykę” kampania języko-
wa streszcza się w hasło:
„Obywatelu, nie jakaś się!”
Lecz nim obywatelu dojdą
do tego idealnego stanu —
aby przestać się jakaś mu-
szą w ogóle zacząć się ja-
kać.

KTO SIĘ JAKA?

Rozglądając się po łódzkim
podwórku, nadzieje kierują
nas przede wszystkim w stronę...
ależ oczywiście, młodzie-
ży! Na podstawie przybliżo-
nych danych liczba tej jaka-
jącej się w językach obcych
sięga w Łodzi... moment cier-
pliwości, zanim to ujawnię.
Otóż wiadomo powszechnie,
że już uczeń szkoły podsta-
wowej rozpoczyna naukę je-
zyka obcego — najczęściej
rosyjskiego lub angielskie-
go. Na świadectwie ukończe-
nia szkoły podstawowej figu-
ruje lepsza lub gorsza ocena
za znajomość języka, pozna-
wanego na trzyletnim kursie
(klasa: V, VI, VII); w sumie
360 jednostek lekcyjnych. Prze-
chodząc do szkoły średniej
uczeń kontynuuje aż do ma-
tury naukę obcego języka, co
daje okrągłą cyfrę 7 lat (tak,
siedem! — przeliczcie sami
na godziny lekcyjne), a po-
nadto podejmuje 4-letni kurs
drugiego języka nowożytnego.
W praktyce otrzymanie matu-
ry powinno pozostawiać rów-
noznacznie z biegłą znajomością
jednego, a co najmniej
dostateczną drugiego języka.
Snucie tych uszczęśliwiających
horoskopów usprawiedliwia
czasokres trwania nauki —
siedem lat, to chyba termin
całkowicie wystarczający na
opanowanie gramatyki i słow-
nictwa oraz na płynne posłu-
giwanie się nimi w mowie za-
leżnej?

Aktualnie szkolnictwo śred-
nie ogólnokształcące skupia
ponad 9 tysięcy uczniów. A
więc w ciągu czterech lat
społeczność Łodzi wzbogaci
się o 9 tys. młodych ludzi
bezbłędnie (?) operujących
jednym językiem obcym.
Łącznie ze szkołami podsta-
wowymi suma wyniosłaby 20

tysięcy. Pięknie. Doliczając
jeszcze młodzież akademicką
łódzkich uczelni nareszcie do-
bijam do owej przemilczanej,
wspaniałej, perspektywicznej
liczby — 30 tysięcy aktualnie
uczących się języków obcych
przyszłych kadr naszej mło-
dej inteligencji.

EWA OSTROWSKA

Ocena kwalifikacyjna na
świadectwie maturalnym nie
posiada jednak swojego prak-
tycznego desygnatu w rzeczy-
wistych umiejętnościach abi-
turientów. Pierwsza próba
konfrontacji na studiach wy-
kazuje stan — zbliżony ra-
czej do nieświadomości lin-
guistycznej. Ministerstwo
Szkolnictwa Wyższego ogło-
siło drugocząca dla ewen-
tualnych kandydatów na wyż-
sze uczelnie uchwałę, mocą
której poczynając od najbliż-
szych egzaminów wstępnych
w roku akademickim 61/62
kandydat ma obowiązek zło-
żenia egzaminu również i z
języka nowożytnego. Tego-
roczni maturzyści stanęli
przed nie byle jakim zadaniem:
muszą nadrobić w ciągu kil-
ku miesięcy pozostałych im
do końca roku szkolnego, sie-
dmioletnie trzy, w najlep-
szym razie czteroletnie braki.
Smutny dowód „efektyw-
ności” dotychczasowego sys-
temu nauczania w szkolnic-
twie dały rezultaty kolokwium
sprawdzających, przeprowadzo-
nych w miesiącach październi-
ku i listopada na dwóch
tysiącach studentów pierw-
szego roku wszystkich kie-
runków łódzkich uczelni (w

oparciu o materiał nauczania
wyznaczony programem szko-
ły średniej). Czarna rozpacz
ogarnia nawet dyletanta, gdy
przeegląda te wyniki. Angiel-
ski, niemiecki i francuski w
zakresie tłumaczenia tekstów
z podręcznika szkolnego ob-
lalo tylko... 70 proc. studen-

grupach uczy się tu 2.460
osób.

Najskromniejsze początki
miał Klub MPIK. Zaczynał od
trzech grup, ale w przeciągu
trzech lat rozrósł się ładnie
i obecnie uczy się tam 1.000
sluchaczy w 38 grupach.

Należy tu nadmienić, że w

PIĘĆ TYSIĘCY

Tyle osób uczy się w
bieżącym roku na kursach w
trzech wielkich łódzkich o-
środkach kulturalnych. Pre-
zentując państwu: Łódzki Dom
Kultury, Klub Międzynarodo-
wej Prasy i Książki, Towa-
rzystwo Wiedzy Powszechnej.
Chronologicznie — od 1955
roku — najstarszy doświad-
czeniem jest Łódzki Dom
Kultury. Ogółem z usług jego
korzysta 741 osób (w gru-
pach językowych wszystkich
poziomów czyli od początku-
jącego do zaawansowanego
dla języków: angielskiego,
niemieckiego, francuskiego i
rosyjskiego).

Sekcja języków obcych przy
TWP posiada czteroletnią tra-
dycję i imponującą się roz-
rasta: w 57 roku TWP li-
czyło około 500 uczestników
w 24 grupach, dziś w 108

roku bieżącym zainteresowa-
nie kursami było niezwykle
silne, liczba zgłoszeń prze-
kraczała przewidziany limit
miejsc.

Szlachetni snobi, ogarnięci
pragnieniem zlikwidowania
wad wymowy, atakują przede
wszystkim język angielski.
Druga lokata przysługuje nie-
mieckiemu. Na przykład w
KMPIK istnieje 20 grup an-
gielskich, 14 niemieckich i za-
ledwie 4 francuskie. Mniej
więcej analogicznie układają
się proporcje dla TWP i LDK.

90 proc. wszystkich jakają-
cych się stanowią ludzie z
wyższym i półwyższym wy-
kształceniem — obiektywny
dowód na docenianie przez
inteligencję potrzeby posłu-
giwania się językami obcymi
i jednocześnie kontrargument
przeciwko wciąż panującemu
poglądowi o ekskluzywności
i elitarności tego typu wie-
dzy.

Weryfikując według zawo-
dów: najliczniejszą kategorią
są inżynierowie, technicy, le-
karze, księgowi. 10 proc. za-
biera młodzież akademicka,
(tu ułkon w kierunku lektora-
tów na wyższych uczelniach)
Opłata za kursy skalkulo-
wana jest w sposób, który

pokrywa tylko koszty lektó-
rów i administracji. Nawet
przy szczytowej chęci kie-
rownictwa ośrodków nie moż-
na posądzić o chęć zysku.
Najniższa cena (LDK) — wy-
nosi 45 złotych miesięcznie,
„najwyższa” — 60 złotych.
Przyjmując tę najwyższą ja-
ko typową, i przeliczając na
godziny, otrzymamy: sześć-
dziesiąt dzielone przez 16 go-
dzin wykładowych w ciągu
miesiąca (dwa razy w ty-
godniu po dwie godziny za-
jęć) równa się... trzy złote
z groszami. Opłata za jedną
godzinę nauki nie przekra-
cza więc złotych czterech!

Przypominam, że cena za
jedną godzinę u korepetyto-
rów prywatnych waha się od
20 do 100 złotych.

CZY NA KURSACH MOŻNA NAUCZYĆ SIĘ JĘZYKA?

„Przy odrobinie dobrej wo-
li i oczywiście wkładzie wła-
snej pracy — tak! Bez wąpie-
nia można” — odpowiadał
uczestnicy kursów.

„Kończąc obecnie kurs, z
którego jestem bardzo zado-
wolony — mówi uczestnik
grupy niemieckiej w TWP,
z zawodu inżynier. — „Za-
częło się od tego, że kilka
lat temu musiałem porozu-
mieć się z delegacją specja-
listów niemieckich. Człowie-
kowi wydawało się, że zna
i pamięta, tymczasem komu-
nikowanie polegało na łapa-
niu się prawą ręką za lewe
ucho. Mój niemiecki okazał
się miernym falsyfikatem. No
i ta żenująca sytuacja, w
której pytanie: Do you speak
English? zbywało się wsty-
dliwym uśmieszkiem i ener-
gicznym kręceniem głowy —
niestety, nie! — kiedy w koń-
cu chowany na wszelki wy-
padek tłumacz okazał się o-
statnią deską ratunku. Tak
więc powiedziałem wówczas

Ale jednocześnie Klub Książki
mógłby zwiększyć ilość u-
czących się gdyby nie pospo-
lita choroba — warunki lo-
kalowe. Gmach dla Klubu
dopiero buduje się. Większość
wykładów odbywa się w sa-
lach wypożyczanych i stąd
przykra zależność. Na przy-
kład kiedy Ruch, wypożycza-
jący Klubow, lokale prze-
prowadzał remont, zajęła
należało zawiesić Zapolce
na ulicy Piotrkowskiej jest
zbyt ciasne i w dodatku słu-
ży do szeregu innych im-
prez kulturalnych.

Wszystkie trzy ośrodki są
wyposażone w szeroki asor-
tyment pomocy naukowych,
ułatwiających metodyczne o-
panowanie języka. Klub im-
portuje poprzez ambasady
najlepsze podręczniki (an-
gielski — Horby, francuski —
Mauger, niemiecki — Griz-
bach i Schultz), udostępnia
bibliotekę obcojęzyczną, czas-
opisma, bezpłatnie dostarcza
kompletów literatury obcoję-
zycznej, również sprowadza-
nej przez ambasady, wyświetla
filmy fabularne w wersjach
oryginalnych, oddaje do u-
żytku magnetofony, linguaph-
ony polskie i angielskie itp.
Akcja całkowicie obliczona
na korzyść uczestników. Tak
kl. linguaphon kosztuje dwa
tysiące. Przeciętny śmiertel-
nik nie może sobie nań poz-
wolić, przecież to luksus: dwa
tysiące linguaphon, kiedy
przydałaby się pralka w
domu?

Z kolei LDK projektuje
niezwykle cenną inicjatywę.
Po pierwsze — utworzenie
„Gabinetu dla społeczeństwa”.

„Gabinet dla społeczeń-
stwa” czyli miejsce, w któ-
rym magnetofony i linguaphony
staną się niejako własnością
wszystkich. Każdy będzie
mógł tu przesłuchiwać płyty
czy nagrać się na magneto-
fonie. Użyteczność i społeczna
wartość tej inicjatywy nie po-
trzebuję komentaryzować.

Drugą propozycją jest u-
tworzenie Poradni Języków
Obcych. Również dla ogółu
społeczności Łodzi. Porad-
udzielać będą lektorzy listow-
nie, telefonicznie lub w oso-
bistej rozmowie w określone
dni tygodnia, bezpłatnie! Na-
leży życzyć szybkiego zreali-
zowania planów. Jakąkający
się czekają.

No, więc — kto lepszy, a
kto gorszy?

Miarodajnym sprawdzianem
mogłyby stać się zestawienia
ocen z egzaminów końcowych,
lecz — takich egzaminów nie
ma, wydawane są tylko za-
świadczenia o uczęszczaniu
na kurs takiego a takiego
stopnia. Klub stara się o
znormalizowanie tej sprawy
w ministerstwie, sponując
sluszenie, że wystawianie świa-
dectw z oceną jest potrzebne
tak dla uczestnika kursu jak
i dla samej możliwości zori-
entowania się w poziomie
osiąganych wyników naucza-
nia. Bo do tej pory kursy
prowadzi się niejako w „ciem-
no”.

Warszawa — wiadomo, sto-
lica! — ma swoją „Wspólną
Sprawę”. Instytucję z wy-
łącznym monopolem prowa-
dzenia kursów, z własnym
wydawnictwem i ujednolico-
nym systemem nauczania. U
nas, każdy sobie rzepkę skro-
bie. Może dla dobra wspól-
nej społecznej sprawy popie-
nienie plagiatu nie kwalifi-
kowałoby się pod zarzut grze-
chu? Gdyby tak w Łodzi u-
tworzyć „Wspólną Sprawę”?

W społecznym interesie le-
ży jak najszybsze włączenie
jęz. Wspólna sprawa
wszystkich jest przysięż-
nie dewaluacji hasła „Obywa-
tele, nie jakaś się!” i wpisa-
nie go w rejestr dowcipów z
taaką brodą.

KTO LEPSZY?

Którę z trzech instytucji
należy się palma pierwszeń-
stwa za działalność i orga-
nizację kursu? — TWP?
LDK? Klubowi? Prawdopo-
dobnie maleńki przymiotnik
wyróżniający in plus usaty-
sfakcjonowałyby kierownictwo
i uczestników kursu; nie czu-
ją się jednak na siłach ar-
bitrować w tej sprawie.

Ze względu na ilość słu-
chaczy laur przypada TWP.



Poniżej drukujemy fragment wspomnień tow. Józefa Rzetelskiego, komendanta GL z Bałut. Akcja fragmentu rozgrywa się w sierpniu 1942 r. W lutym 1942 r. tow. Rzetelski uciekł ze Stalagu II C („Greifswald-Pommern”). W Łodzi przystąpił natychmiast do pracy konspiracyjnej. M. innymi wyrabiał zapalniki potrzebne do akcji sabotażowej. Obrazek, który przytaczamy, nie należy do najbardziej dramatycznych. Przeciwnie — do powszednich. Ale ci z nas, którzyśmy przeżyli wojnę, wiemy, że z takich powszednich godzin i minut, pełnych ustawicznego napięcia i niepokoju, składały się całe lata okupacyjne.

JÓZEF RZETELSKI

JEDNA GODZINA ŻYCIA

Dla odprężenia, z Henkiem „Lapką” szukaliśmy w pewnych okresach czasu samotności poza miastem. I właśnie w pierwszych dniach sierpnia w gorące przedpołudnie wybraliśmy się do stawu Arnolda w Radogoszczu, by skryć się na chwilę w wodzie przed żarem piekącego słońca. W samo południe, naganiancy z Arbeitsamtu przy pomocy „Schutz-Polizei” zrobili przy stawie obławę, polecając wszystkim obecnym opuścić wodę i plażę. Rozstawili kilka patroli wokół stawu. Heniek posiadał dokumenty jako pracownik tramwajowy, ale ja, niestety... pustą kieszeń. Sytuacja była trudna, chociażby dlatego, że staw był ogrodzony ścisłymi deskami. Zrobiło mi się głupio, że w tak nierozważny sposób muszę oddać się w ich ręce. Ubiierając się w głębokim zamyśleniu spoglądałem na przechodzącego obok nas „Schupo”, a gdy przeszedł, Heniek chwycił mnie za ramię i spoglądając badawczo w moje oczy, jak to zwykle w rozmowie z każdym czynił, uśmiechnął się i mówił: „NIE MARTW SIĘ MORDKA” (TAK SIĘ CZĘSTO DO MNIE ZWRACAŁ), MASZ MOJE DOKUMENTY I WYCHODZ. TYLKO ŚMIAŁO — DODAŁ, ZEBY CIĘ NIE ZMIARKOWALI.”

Spojrzałem na niego ukradkiem i rzuciłem nieśmiało pytanie: „A ty co z sobą zrobisz?” — Jeszcze raz uśmiechnął się i pokazuje mi parkan do przodu: „Jeśli będziesz w tym miejscu z tamtej strony parkanu, przetrzeźnisz mi z powrotem!” — Rzucając jeszcze swój uśmiech podziękowania odezwałem się nieśmiało: to dlatego ja mam pierwszy z nich korzystać, są twoje i będzie lepiej — gdy ty pójdziesz a ja skorzystam jako drugi, gdy mi je przetrzejesz?! Heniek jeszcze raz przesyłał mi swym spojrzeniem i bagatelizując moje uwagi powiedział lekceważąco: „Jesteś ubrany... szkoda czasu bo może być za późno...”. Ja w tym czasie będę powoli ubierał się — uciekaj! — spojrzał na mnie prosił. Nie mogłem dalej oponować i ruszyłem w stronę wyjścia.

Przy wąskiej furtce „plażowiczek” byli ustawieni rzędem (około 50 osób), w którym i ja stałem.

W trakcie oddawania dokumentów do wglądu starałem się utrzymać spokój, niemniej czułem biele własnego serca. A gdy otrzymałem dokumenty z powrotem, śmiało ruszyłem do przodu. Posuwając się wzdłuż parkanu w stronę ul. Zgierskiej, starałem się zorientować w którym miejscu z drugiej strony znajduje się Heniek. Pochylając się, to znów wspinając na palce, zaglądałem przez dziury od ścian w parkanie, aż wreszcie zobaczyłem go. Chcąc dodać mi odwagi krzyknął: „Śmiało Mordka!” i w tym czasie w małym podskoku rzuciłem portfel z dokumentami przez parkan. Spojrzałem jeszcze raz przez otwór, a widząc Henka, jak podnosił swój portfel, już spokojnym krokiem szedłem dalej. — Poczekałem na niego przy ul. Zgierskiej. Gdy doszedł do mnie, uściśnięliśmy się nawzajem i swobodnym krokiem ruszyliśmy w kierunku obozu Radogoszcz.

Wsiadając do tramwaju rzucił mi spojrzenia na wystawione lufy karabinów maszynowych z wież zbudowanych w narożnikach parkanu, okalającego miejsce zbrodni hitlerowskiej. W myślach naszych, jak się później sobie zwierzyliśmy, kojarzyła się niedawna sytuacja, która mogła mnie tam zaprowadzić. W dalszej drodze Heniek wyjaśniał mi konieczność mojego wyjścia z plaży przed nim, z powodu ewentualnego zapamiętania nazwiska z dokumentów, które podał „naganiancom”, przy wrzucaniu ich po raz wtóry. Przy takim rozeznanii Heniek jako prawy posiadacz dokumentów, wykazywał swoje alibi, gorzej natomiast, gdybym ja wychodził drugi i w przypadku rozpoznania, o czym wyżej mowa, byłaby podwójna wspaniałość. Wpadłbym ja, posiadając nie swoje, tylko Henka dokumenty, no i Heniek, który mi je oddał.

Przyznałem mu słusność. Heniek dawał często dowody umiejętności konspirowania się i przychodzenia z pomocą innym, a przykłady można by mnożyć.

Następnego dnia odbyło się zebranie u „Chemika”, gdzie Heniek załatwił mi ostatecznie sprawę dokumentów zgodnie z wytycznymi partii.

Aleksander Konicki MUZYKA w GRUDNIU

Nie umniejszając znaczenia innych pokrewnych instytucji, o życiu muzycznym naszego miasta stanowią przede wszystkim koncerty Filharmonii. Wprawdzie sto lice europejskie mogą posiadać po kilka orkiestr symfonicznych występujących stale, mogą dysponować wieloma salami, gdzie produkują się zespoły kameralne czy też wirtuozosolisci, ale skoro nas nie stać na to — jedyna w Łodzi „świątynia” muzyki poważnej spełniać musi wszelkie zadania. Dlatego winna też być „oczekiem w głowie” tych, dla których muzyka stanowi istotną część życia.

Filharmonia potrzebuje na szego poparcia, wyrażającego się w zainteresowaniu jej wysiłkami, w atmosferze życzliwości, we frekwencji na urządzanych przez siebie imprezach. My zaś, słuchacze filharmonicznych audycji, oczekujemy od niej spełnienia naszych wieloletnich postulatów (czy po prostu życzeń). Chciałbym powiedzieć kilka słów o tych właśnie problemach.

Na początek sprawa repertuaru, sprawa tym ważniejsza, że czas koncertu symfonicznego ograniczony jest u nas do niecałych dwu godzin (piszę „u nas”, gdyż np. w Paryżu niedzielne koncerty wielkich towarzystw symfonicznych trwają często dłużej i to bez antraktu). Jak zatem zadowolić nadzieje wszystkich, mogących zaprezentować miesięcznie ledwie kilkanaście utworów, w tym wiele niedużych. Istnieje parę tendencji, które trzeba by godzić:

1) dla zaspokojenia wymagań tradycjonalistów (a jest ich „legion”), a także dla licznych nowych słuchaczy, np. spośród młodego pokolenia, wykonywać „żelazne pozycje” klasyki muzycznej (zdaniem co bardziej osłuchanych — „zbo konieczne”, ale przecież celowe dla podnoszenia poziomu zespołu);

2) przedstawiać raczej utwory rzadziej wykonywane, jeszcze nie „ograne” zbyt. Jest ich przecież bogactwo niezmierzone — jak to nie dość znane dzieła największych twórców, czy war-

tościowe i często niedoceniane utwory kompozytorów o mniej głośnych nazwiskach.

3) popularyzowanie muzyki naszego XX wieku — „klasyków współczesności”, jak (dla przykładu) Strawiński, Hindemith, Schoenberg czy Messiaen, oraz dzisiejszej awangardy (mimo wszystko!). Oczywiście jeszcze głośniejsze uwzględnienie należy się tu Polakom. (Od Bacewiczówny do Pendereckiego włącznie).

Czy praktycznie możliwa jest jednoczesna realizacja tych wszystkich postulatów — wie najlepiej Dyrekcja Filharmonii. Jako „porte — parole” szarych słuchaczy proszę tylko, aby programy koncertów symfonicznych obok innych walorów posiadały także poznawcze — w ogromnym morzu literatury muzycznej — aby kwestia przystępności nie była jedyną determinantą repertuaru.

Bo niestety miesiąc grudzień był dość szary z tego punktu widzenia, choć gościliśmy dużej miary indywidualności artystyczne, także z zagranicy. Czy np. czechosłowacki dyrygent, Václav Jiráček, musi grać nam najbardziej oklepiany, znany każdemu dziełku z koncertów szkolnych, utwór Smetany? Chętnie poznawalibyśmy dzieła nowszych, a równie wielkich kompozytorów jego narodowości — Jančka czy Bohuslava Martinu. Już gościnianin Milan Horvat pokazał nam przynajmniej coś ze współczesnej twórczości swego kraju — Borysa Papandopulo uwerturę do opery „Amfitrion” (polskie wykonanie) Albo — kto nie słyszał jeszcze Hesse-Bukowskiej w Koncercie Chopina? Poza tym był jeszcze w grudniu Koncert Karłowicza, dość blady w wykonaniu skrzypka Igora Iwanowa (Polał, koncertmistrz Filharmonii Narodowej), „Patetyczna” Czajkowskiego, IV Symfonia Beethovena i to właściwie wszystko. Bowiem w tym „pechowym” miesiącu jeden z koncertów piątkowych nie odbył się wcale z racji świąt, inny musiał być sylwestrowo-rozrywkowy, jeszcze jeden poświęcony został na rzecz imprezy popularno-mu-

zycznej z baletem Harnama i piosenkarzami. (Nikt nie chce negować przydatności takiej formy zbliżenia muzyki do publiczności — skoro nie udaje się na odwrót — ale dlaczego kosztem normalnych, stałych koncertów symfonicznych?).

Wracając do postulatów pod adresem władz Filharmonii, oto jeszcze jedna prośba — organizujcie recitale! Literatura instrumentalna jest przebogata i z pewnością godna stałego propagowania (nie tylko wśród uczniów szkół muzycznych). To prawda, że frekwencja łódzian na tego typu imprezach bywa niedostateczna. Trudne do wyjaśnienia byłoby to na występie radzieckiego skrzypka Borysa Gutnikowa, bo przecież ten 30-letni dziś artysta, prócz różnych złotych medali, przywiózł w swoim czasie z Paryża I nagrodę w sławnym konkursie im. Marguerity Long i Jacquesa Thibauda! (Nawiasem mówiąc, młodzi skrzypkowie z ZSRR mają szcześnie do tego konkursu — w 1953 wygrała go Szkołnikowa, w 1957 właśnie Gutnikow, a w 1961 „lupem” Rosjan padły: I, II, IV, V nagroda Ter-Mergerian, Żuk, Szychmurzajewa, Danczenko). Przy świetnym akompaniamencie Lidii Pieczerskiej Borys Gutnikow z ogromną dojrzałością wykonał sonaty skrzypcowe Bacha, Brahmsa i Hindemitha, 4 preludia Szostakowicza oraz utwory Wieniawskiego i Szymanowskiego. Oto przykład dobrze ułożonego programu recitalu, wysokiego poziomu artystycznego i... braku wystarczającego zainteresowania ze strony łódzkich melomanów.

Oby Dyrekcja Filharmonii nie dała się zasugerować nie dość pełną salą, a przeciwnie — w miarę możliwości i wbrew czystej dochodowości — zaczęła przyzwyczajać nas do stałych wtorkowych recitali przy ul. Narutowicza 20. Mamy w kraju wielu młodych i bardzo utalentowanych muzyków-wirtuozów, którzy niejednokrotnie przynoszą nam zaszczyt w międzynarodowych współzawodnictwach, natomiast w Polsce nie mają możliwości publicznych występów mogących im dać tak nieodzowne obycie z estradą koncertową i zarazem podnieść do wyższego podnoszenia poziomu swej sztuki. A przecież gmach Filharmonii Łódzkiej stoi niewyżytkany przez pięć wieczorów w tygodniu.

Aktywnie działające w naszym mieście oddziały Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków oraz Związku Kompozytorów Polskich wykorzystują do organizowania audycji muzyki kameralnej bardzo też kameralną, miłą aulę Wyższej Szkoły Muzycznej. Gorąco polecamy te „sympozjony” wszystkim prawdziwym miłośnikom dobrej muzyki.

informacje i zachepek

Łódzcy budowlani ofiarowali mieszkańcom naszego miasta w noworocznym prezencie 529 izb ponad plan. Tak więc rok 1961 zamknął się liczbą 12 tys. 428 nowych izb mieszkalnych.

Grudniowa „Twórczość” przynosi interesujące opowiadanie Roberta Glutha pt. „Rudi”. Radzimy przeczytać.

Od kilku dni wprowadzono samoobsług w tramwajach linii „0” i „23”. W wypadku powodzenia eksperymentu samoobsług objęte zostaną pozostałe linie. Osobiście wątpimy czy oszczędności wynikłe z eksperymentu pokryją ewentualne straty, bowiem tożsamość zbyt często kasują w automatach bilety, które z Miejskim Przedsiębiorstwem Komunikacyjnym niewiele mają wspólnego.

W Łodzi mamy ponad 50 lodowisk dla dzieci i młodzieży. Jest to, niestety, niezmiernie mało. Ostatnio za organizację zimowych placów zabaw wzięło się Towarzystwo Przyjaciół Dzieci i Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej.

W tych dniach Wydawnictwo Łódzkie wydało zbiór opowiadań Andrzeja Brychta pt. „Suche trawy”. Autor — łódzianin, tematyka trapiąca (środowisko łupów miejskich). Cena 8 zł. Warto przeczytać.

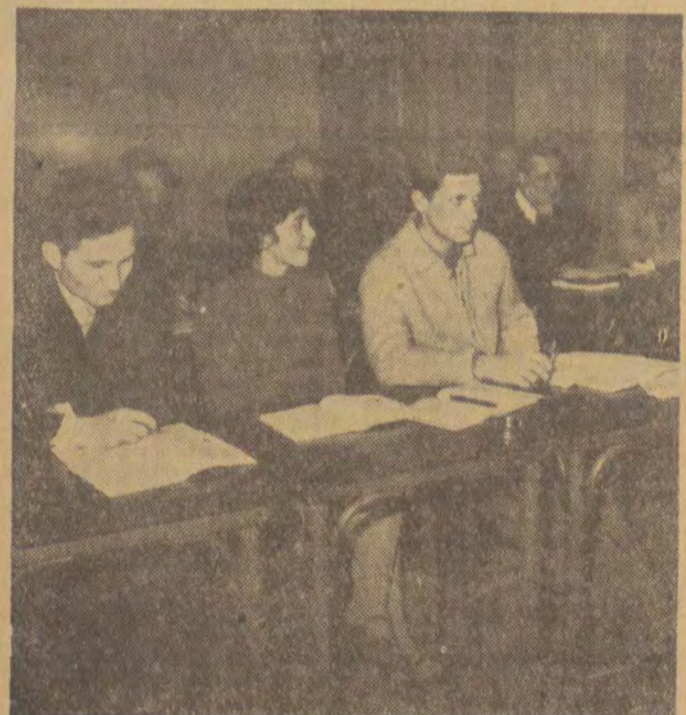
W ubiegłym tygodniu występował w Łodzi nieco przekłamany zespół Paryskiej Rewi na Łódzie.

Dość często w łódzkim środowisku twórczym prowadzone są dyskusje na temat oddziaływań na twórczość artystów. Smutną poiną tych rozważań jest odejście z Łodzi Kazimierza Dejmka.

130 mln zł zaoszczędzili w ubiegłym roku budowlawcy Cementowni w Działoszynie.

W swoim czasie mówił o obiedu w Łodzi funkcji trenera tenisowego przez Skoneckiego. Jak dotąd na ten temat trwa głucha cisza. Czyżby „mistrz” żądał zbyt wiele?

W ostatnich dniach grudnia Łódź przybyło 700 młodych małżeństw. Młodych dostojnie, bo ponęci sobie aż... szesnaście lat. niektóre obłubienice Henryk J. W.



Na kursie języków obcych

Fot. E. Kudaj

EWA SULIBORSKA

„GRUBE RYBY”

Teatr Powszechny „nie rezygnując naturalnie z tzw. ambicji repertuarowych” zaprezentował sztukę będącą pozycją „żelazną” w teatrze od lat blisko czterdziestu — „Grube ryby” Michała Bałuckiego. Z decyzją wystawienia łączą się dotarcia do szerokiego widza. Deklaracje Teatru wyrażone w artykule IBS „Dla czego „Grube Ryby” są godne najwyższych pochwał, tym bardziej, że przedstawienie miało pokazać nowe odczytanie komedii, „dotarcie do głębszych treści utworu”, miało „wydobywać spod tradycyjnych „gier” to, co autor chciał przez tę sztukę powiedzieć. Trudno jednak deklaracje te uznać za zrealizowane.

Po pierwsze, nie wiem na ile tak zwana szeroka publiczność będzie umiała bawić się

tym mocno już zwietrzałym dowcipem. Po drugie, nie umiem sobie odpowiedzieć na pytanie, jakich głębszych treści chciano się w niej doszukiwać.

„Grube ryby” są w tej chwili historycznym dokumentem pewnych tendencji w polskiej dramaturgii. Nigdy nie stanowiły zresztą obrazu jakichś autentycznych w niej dokonanych. Ich epigoniści charakter z góry przesądził los komedii. Niemal natychmiast po napisaniu „Grube ryby” stały się „klasyczne”. A pewna ich historyczna wartość daje się dostrzec tylko wtedy, gdy rozpatruje się je w kontekście pewnych przemian dokonywanych się na przełomie wieku w Polsce i pewnych literackich tendencji. Komedie te trzeba już teraz zaopatrywać obszernymi wstępami i grać je tak — i chyba tylko

tak — jak była napisana. Wiadomo przecież, że nie zawiera ona żadnych „głębszych treści”. Wiadomo też, że nie znajdziemy w niej ani błyskotliwego dowcipu, ani owej technicznej sprawności, dzięki której niektóre pozycje tego repertuaru, do jakiego zaliczono „Grube ryby”, wciąż są żywe.

Dobrze się więc chyba stało, że przedstawienie to w Teatrze Powszechnym ma charakter klasyczny i kontynuuje ciąg tradycji pięknie zagranych Wistowskich i Pałanowiczów. Tym więcej, że wznawienie „Grubych ryb” mają sens tylko wtedy, gdy są przeznaczone dla młodzieży i ukazują teatr takim, jakim był przed pół wiekiem. Komedie ta uzmysławia bowiem przemiany, jakie dokonały się w teatrze. Tradycyjne po-

winno podkreślać. Wszystkie nowe spojrzenia nie mają tu najmniejszej szansy powodzenia. „Grube ryby” można tylko lepiej albo gorzej zagrać, nie można ich na nowo odczytać. Roman Sykała chciał, jak się zdaje, popatrzeć nieco inaczej na Helenkę, Wandę i Henryka, przedstawicieli tzw. „młodego pokolenia”. Niestety, w sposób fatalny odbiło się to na roli Zbigniewa Płoszaja. Całe szczęście więc, że Aleksander Fogiel i Tadeusz Sabara nie próbowali patrzeć „na nowo” i zagrali swoje role według wszystkich zasad komediowej stylistyki. A Jadwiga Przeradzka, zbudowała dekorację, w których światłach państwa Ciaputkiewiczów nabiera specyficznego zapachu polskiego zaścianka.

Teatr Powszechny — „Grube ryby” M. Bałuckiego, reż. Roman Sykała, Scenografia Jadwiga Przeradzka.

odgłosy

KRONIKA SKANDALICZNA BARBARY RADZIWIŁŁÓWNY

Władysław Rymkiewicz

„KRÓLOWA NA WIŚLE UTOPIĆ” (X)

Wyjazd Barbary z Wilna do krajów koronnych nastąpił we wrześniu 1548 roku. Jak przystało małżonce królewskiej, podróż odbywała się z honorami, „z pompą”, według określeń dawnych historyków. Droga wiodła z Wilna traktem grodzieńskim przez Bielsk i Podlasie do Łosyc, miasteczka już w granicach rdzennej Polski. W Łosycach nastąpiło pierwsze powitanie królowej przez specjalnego wysłannika króla, pana Floriana Zebrydowskiego, który z poczem dwustu konnych przyłączył się do orszaku Barbary i towarzyszył jej do Janowa, gdzie z kolei dołączył się ze swą świtą podczas pan Jan Tarło (ten sam, który w helmie i zbroi, udekorowanej płonącymi świeczkami, wyobrażając osobę zmarłego króla Zygmunta Starego, wjechał konno do katedry w czasie uroczystości pogrzebowych i zwał się przepisowo w pełnym rynsztunku przed katedrą z konia).

W Łukowie witała królową Rada Koronna, złożona z możnowładców, wojewody Firleja, wojewody Kościelec, wojewody Anzereja z Tęczyna i innych. Wielcy panowie wzięli wody do ust i na razie ani słowem nie zdradzali się ze swych zastrzeżeń przeciwko królewskiemu małżeństwu. Na chwilkę milczy przed Radomiem „racy” spotkać swą polowicę sam król jegomość. Od drogi w pole rozłożono szlak z czarnego lionskiego sukna długości 20 sążni (sążeń — dawna miara długości odpowiadająca w przybliżeniu 3 lokom). Kolebka z królową podjechała do szlaku. Wówczas król ruszył z drugiego końca sukniennego chodnika i małżonkowie, w połowicy onego czarnego sukna się przywitali.

Następnie w Radomiu odbyła się uczta. Panowie litewscy i polscy, którzy z jej królewską mością przyjechali zsiadli przy koniu „prosto szli do stołu jego k. m. jeść”. W dalszym ciągu nikt nie występował z zarzutem przeciwko królewskiemu stadu, niektórzy błogosławili ten związek małżeński, inni mówili: „wierzę, że już wiekiście ją pojął”, ale już tu i ówdzie rozlegały się szemrania, o których Mikołaj Radziwiłł w liście do matki wyraża się ze znaną filozofią życiową: „A tak być musi między ludźmi, by się też co najlepszego stało, tedy się nie wszystkim może podobać”.

Ze jednak sytuacja była napięta i że pod układnym milczeniem kłapała ukryta wrogość przeciwko Barbarze, świadczy inne słowa listu: „Otóż, chwala Bogu, pana Hlebowiczowe prorocstwo się nie spełni. On powiedział, że mię miano obwieścić, a królową na Wiśle utopić; otóż królowa z mężem po społu a mnie za

laską Bożą ludzie i radzi widzą, i częścią ważą, co dalej z nami będzie, Panu Bogu to poruczę”.

Spośród panów koronnych na razie jeden tylko wojewoda krakowski Kmita wypowiedział się jawnie przeciwko królewskiemu małżeństwu.

Burza wybuchła na sejmie w Piotrkowie, który się rozpoczął 31 października 1548 roku, i odbywał na świeżo odrestaurowanym ratuszu piotrkowskim. I tutaj z początku obrady nie zahaczały o drażliwą kwestię. Dopiero w tydzień po otwarciu sesji sejmowej, 6 listopada poseł Piotr Boratyński, sędzia ziemski przemyski wystąpił z „pokorną prośbą” do króla „o małżeństwa opuszczenie”. Mowa Boratyńskiego wywarła w Izbie wielkie wrażenie. Znajdowały się w niej między innymi takie charakterystyczne fragmenty:

„Urodził się W.K.M. w królewskim wysokiej dostojności domu, do którego za pilną strażą przodków WKM nie nigdy takiego nie weszło, czego by ludzie chwalić nie mieli...”

„Starał się (stary król uw. m. Wł. R.) iżby zwyciężył sam siebie, i te namietności, które wiodą nas ku złemu przeciwną się woli Bożej, podbił pod posłuszeństwo rozumu, wiedząc to być rzeczą chwalebniejszą w osobie królewskiej zhołdować sam siebie, niż przez moc opuszczać wiele narodów...”

„Racz W.K.M. sam na się okiem rozumnym wejrzeć, jeśli stanowi W.K.M., wysokiemu urodzeniu, królowi pomazanemu (czyli Pomazancowi Bożemu) takie ożenienie przystoi...”

„Chciejże tedy W.K.M. nasz MPan zwyciężyć sam siebie, odwrócić oczy swe od tego, co zaraża, nie tylko oczy W.K.M., ale i rozum...”

Przytoczyłem powyższe wyjątki z mowy Boratyńskiego, żeby wskazać, że szlachta nie ceregielowała się nadmiernie z Majestatem i rąbała swemu królowi prawdę w oczy.

Po Boratyńskim przemawiali inni i wreszcie doszło do patetycznej sceny na sejmie, godnej pędzla Matejki: posłowie rzucili się na kolana przed królem, błagając, żeby przychylił się do ich prośby i zerwał małżeństwo z Barbarą.

Wyobrażam sobie ile w tym zbiorowym szaleństwie było przesady i egzaltacji.

Zygmunt August zachował się i tym razem z właściwą mu dyplomatyczną wstrzeźmiennością: zdjął nakrycie z głowy i oświadczył, że dla spóźnionej pory, jak również, pragnąc rozważyć propozycję sejm — odkłada rzecz całą do jutra.

Podobne historie z odkładaniem przez króla do jutra spraw do załatwienia w polityce wewnętrznej i zagranicznej zyskały mu u historyków przezwisko „Dojutrak”.

Co i jak odpowiedział monarcha na błagalne prośby swych poddanych na kolanach o tym w następnym felietonie.

EDWARD SZUSTER

Rozmyślania na PLACU DĄBROWSKIEGO

Przypominamy naszym Czytelnikom, że w poprzednim numerze „Odgłosów” rozpoczęliśmy drukowanie cyklu artykułów, poświęconych aktualnym problemom polityki kulturalnej w Łodzi. Był to artykuł wiceprzew. RN m. Łodzi prof. Romana Kaczmarka. Zwracamy się do działaczy kulturalnych naszego miasta z prośbą o zabranie głosu i wierząc, że wspólnymi siłami przyczynimy się chociażby i w skromnej mierze do wyjścia z impasu.

(red.)

Niechętnie chadzam przez plac Dąbrowskiego. Gmach, który rośnie tam — mimo wszystko — od kilku lat wywołuje we mnie przeróżne, a zawsze kłopotliwe refleksje. Do niektórych przywykłem, inne stały się nieaktualne, ale na ich miejsce przychodzą



nowe. Przywykłem do myśli, że ów „Teatr ogromny” jest od wielu już lat czynnym w rodzaju pompy ssącej, pochłaniającej znakomitą większość środków, jakie wydrukują się w Łodzi na budowę obiektów kulturalnych i nie bez satysfakcji przypominam sobie, że i warszawiacy mają u siebie podobną pompę, także Teatr Wielki. Zastanawiałem się w swoim czasie, który z łódzkich teatrów należałoby przenieść do nowo wznoszonego gmachu; od czasu, jak zapadła decyzja ulokowania tam Opery, rozważania te stały się nieaktualne. Na ich miejsce pojawiają się inne; obecnie staram się sobie wyobrazić, jakimi to sposobami uda się Operze — za dwa, trzy lata — rozwiązać zadanie, które w ujęciu podręcznikowym brzmiałoby mniej więcej tak: „Teatr może pomieścić 1300 widzów i daje w ciągu roku 300 przedstawień. Ilu widzów powinno odwiedzić

ten teatr w ciągu roku, aby średnia frekwencja na przedstawieniu wynosiła 70 proc.”. Na premierze zadanie takie potrafi rozwiązać uczeń 6 klasy szkoły podstawowej. Czy jednak w praktyce rzecz będzie równie nieskomplikowana, czy liczbę 270.000 widzów rocznie uda się osiągnąć Operze w roku 1964 — wątpię. Sądzę nawet, że jest to zadanie nierealne.

Po tym co powiedziałem zostanie na pewno uznany za wroga Opery, wobec czego oświadczam uroczyście — choć nie wierzę w skuteczność takich deklaracji — że opera, jako taka, bardzo mi odpowiada. Są ludzie, którzy twierdzą, że opera to forma już przeżyta, że twórczość operowa w gruncie rzeczy już zamarła, ci ludzie, których argumentom nie można odmówić pewnej dozy słuszności, uznają mnie za wyznawcę mieszczańsko-wstecznych upodobań artystycznych. Nic na to nie poradzę. Chętnie słucham i chętnie oglądam widowisko operowe na przyzwyczajonym poziomie. I chciałbym nawet bardzo móc uwierzyć w taki fenomen jak prawie tysiąc widzów na każdym spektaklu Opery Łódzkiej. Chciałbym ale nie mogę.

Z popularnością opery w Łodzi, z czymś co nazwać by można „operomanią” nie jest wcale dobrze. W ubiegłym 1962 roku, miała nasza Opera sporo kłopotów z osiągnięciem zaplanowanej ilości widzów i w rezultacie miała ich 60.000. Biorąc nawet pod uwagę wszystkie utrudnienia — jakie i teatrowi i widzowi sprawia brak stałej sceny i możliwość dawania przedstawień dwa razy w tygodniu — nie wydaje się prawdopo-



dobne aby po zniknięciu tych utrudnień, po wprowadzeniu się do własnego gmachu, frekwencja w Operze mogła w ciągu dwóch lat wzrosnąć prawie pięciokrotnie. Skoro w roku 1961 operę odwiedziło 60.000 widzów — mimo że miejsc było prawie dla 100.000 — to skąd, z jakiego tajemnego zapasu wyłoni się w 1964 roku prawie 300.000 „operomanów”?

W gruncie rzeczy nie wiem,

po co zaprzęgam sobie głowę takimi sprawami. Ostatecznie jest przecież kierownictwo Opery i jego sprawą do niego należy rozwiązanie tej zagadki. Rozumie ono doskonale, że zasadniczą sprawą jest tu poziom i barwność repertuaru; trudno wyobrazić sobie, aby kiepskie przedstawienie ścigało widzów, trudno też pomyśleć, że skoro za dwa lata Opera wejdzie do normalnej pracy musi już dziś przygotować zespół i repertuar. Kierownictwo Opery rozumie doskonale, że nie można z założeniami rękami czekać radosnego dnia wykończenia budynku teatru i potem dopiero przygotować jego normalną eksploatację.



I dlatego właśnie kierownictwo Opery wystąpiło do Wydz. Kultury Rady Narodowej m. Łodzi o przyznanie Operze środków finansowych, które umożliwiłyby jej przygotowanie się do czekających ją zadań. Słusznie? Na pewno słusznie.

W Wydziale Kultury postulat kierownictwa Opery wzbudził najwyższe zakłopotanie, okazało się bowiem, że po to, aby zaspokoić potrzeby tej rozwijającej się placówki, należałoby przyznać jej połowę tej kwoty, jaką wydział dysponować będzie na utrzymanie i pracę wszystkich 4 teatrów dramatycznych, jednego teatru lalkowego, operetki, opery i filharmonii razem wziętych. Zaspokoić potrzeby Opery można w takiej sytuacji tylko poprzez poważne ograniczenia dotacji dla wszystkich innych wymienionych placówek artystycznych. Można — by było rozważać takie rozwiązanie, gdyby teatry czy operetka opływały w dostatki i mogły oddać coś, niecoś ze swych aparażów młodszej, ale mającej duży apetyt siostrze. Niestety, w Łodzi takiej sytuacji nie ma. Wprost przeciwnie. Nasze teatry, na przykład, są przez radę narodową wspomagane znacznie skąpiej niż podobne placówki w innych miastach Polski. Ten fakt wcale nie ułatwia im

pracy i sprawia, że nie mogą grać roli zamożnych krewnych biednej Opery. Cóż więc można zrobić w tej sytuacji? Odmówić Operze dodatkowych środków na przygotowanie jej rozwoju, a więc uniemożliwić jej normalną pracę w nowej siedzibie? Dać Operze potrzebne środki kosztem teatrów i zarząca te placówki i tak już z największym trudem wiążące koniec z końcem? I tak źle i tak niedobrze.

Tak, kłopotów z krótką koldrą nie da się rozwiązać inaczej, jak tylko przez jej nadzłukowanie. Rada Narodowa m. Łodzi będzie musiała udać się do władz centralnych i uzyskać od nich ów spory kawałek materiału na przedłużenie zbyt kusej koldry. Sytuacja nie jest wcale łatwa tym bardziej, że, jak chodzą słuchy, minister Albrecht bardzo troskliwie przestrzega utrzymania się w wyznaczonych limitach funduszu plac, a właśnie sprawa powiększenia funduszu plac jest i w Operze i w teatrach najistotniejsza. Wiemy jednak, że Radzie uda się te sprawy pomyślnie załatwić i — mówimy szczerze — nadrobić jej własne zaniedbania, które doprowadziły do takiego, jak przedstawiony stan rzeczy. Mam nadzieję, że już niedługo Opera nie będzie się jawiła pracownikom innych placówek kulturalnych w Łodzi w postaci po-



lipa, którego trzeba zgładzić, gdyż grozi pożarciem wszystkiego dookoła. Dotychczas budynek na placu Dąbrowskiego pożerał — jak się rzekło prawie wszystko, co przyznawano Łodzi na budowanie placówek kulturalnych. W tym roku okazało się, że ta pompa ssąca może nie przestać działać z chwilą zakończenia budowy a tylko zabierać się do innych żródeł.

Niechętnie chadzam przez plac Dąbrowskiego. Gmach, który tam — mimo wszystko — rośnie wywołuje we mnie przeróżne, choć zawsze kłopotliwe refleksje. Nie wiem dlaczego. Myślę, że mogłoby być inaczej. Mogło i powinno.

SZPIŁKA TYGODNIA

LITERAT

NIEPOTRZEBNY?

Wpadł nam w ręce program „Chaty za wsią” („Widowisko w 2 częściach w 12 obrazach”), które wystawia PPIE. Przytaczamy poniżej wstęp do programu, pisma p. Krystyny Chruścielskiej:

„Przeniesienie utworu H. Terackiego na scenę jest rzeczą niezmiennie trudną i wymaga wielu starań, aby oddać atmosferę utworu, jego klimat, nie gubiąc przytem, sprawy najważniejszej idei powieści.

(Pisownia i interpunkcja według oryginału — przyp. nasz).

Jeśli chodzi o arcydzieło literatury polskiej „Chata za wsią” Józefa Ignacego Kraszewskiego literat niewiele ma tu pracy. Sens w tym, że wybrane przez niego fragmenty, szereg obrazków scenicznych, muszą być zmontowane przez ściśle współpracującego z nim reżysera i inscenizatora. To bardzo trudne zadanie, odpo-

wiednik montażu w filmie, ma na celu uwspółcześnienie utworu, przygotowanie go do pokazania w zupełnie nowym ujęciu.

Nouvelle vague czy new look po prostu nowe spojrzenie na stary utwór. Trochę nużąca, rozwlekła opowieść musi być skoncentrowana i ciekawa — aby został osiągnięty nasz cel: pokazanie krzywdy chłopów, brak solidarności między biednymi — chłopem i oganem, i wyzysk dworu. O ile to jest widoczne cel został osiągnięty i odczytana na nowo „Chata za wsią” spełni swe zadanie.

Wielkie inscenizacje ze śpiewami i tańcami, utwory cygańskie jakież to nienowoczesne... Nasz fragment „Chaty za wsią” jest widowiskiem drama-

tycznym i wstrząsającym mimo melodramatu, który znają wszyscy. A gramy „Chatę za wsią” dla szkół, dla młodego widza chociaż starsi też chętnie obejrzą osoby znane z książek swego dzieciństwa. Staramy się stworzyć teatr naprawdę popularny”.

Nouvelle vague czy new look! K. Chruścielska sądzi, że literat niewiele miał pracy przy inscenizacji „Chaty za wsią”. Jesteśmy nieco innego zdania. Ale sądząc ze wstępu, który pami Chruścielska napisała tej współpracy rzeczywiście nie było. A może by się przydała. Nie wiemy też, kogo chwalić czy ganić za scenariusz „arcydzieła literatury polskiej”, trochę nużącego i rozwlekłego”.

OSA

To skupisko otynkowanych baraków i pofolwarczych zabudowań, małych domków i przybudówek odgradzone zostało od otaczających je pól wysokim murem. Pola są rozległe i puste, poszatkowane kępami lasów.

Całość od razu stwarza wrażenie samotności, jakiegoś odseparowania od normalnie toczonego się życia. Może dlatego, że się wie.

Tuż pod murem przebiega droga, dość szeroka i wybita, prowadząca do odległych o parę kilometrów wsi. Ta droga to — pozorny kontakt, pozór możliwości kontaktu z tym wszystkim, co pozostało poza wysokim murem, za czym czasem się tęskni, ale częściej nienawidzi: dom, żona, środowisko, wspomnienia, własna osobowość, tryb życia lub raczej wegetacji...

W murze są bramy, które można, jeśli się chce, uchylić jednym ruchem dłoni. Nikt ich nie zamyka i nie strzeże. One znów ludzka pozorem swobody, możliwością odejścia. Ludzka i kuszą. Tymi, którzy ulegli złudzeniu i pokusie, „zajęły się” organa MO.



Bram bowiem strzeże strażnik nieubłagany choć niewidzialny — odpowiedni paragraf Kodeksu Karnego, który głosi: „Kto samowolnie uwalnia się będąc pozbawionym wolności na podstawie polecenia sądowego lub prawnego nakazu władzy publicznej, podlega karze aresztu do 6 miesięcy lub grzywny”. Jeśli „sprawca” ucieka współdziałając z innymi osobami lub przy użyciu groźby lub przemocy, wówczas dalsze punkty tego paragrafu zwiększają karę do lat trzech więzienia lub aresztu. Najczęściej jednak uciekinier korzysta z wydanej mu przepustki, zezwalającej na krótkotrwałe, kilkogodzinne oddalenie się poza mur. Nie pojawia się wówczas na swej sali przed przepisową godziną 22, a potem i w ciągu nocy...

Ucieczki, jak stwierdza dyrektor Rożciszewski, zdarzają się jednak coraz rzadziej. Ten młody lekarz o sympatycznej i zmęczonej twarzy lubi swoich podopiecznych do ostatniej chwili. Jest ich osiemdziesięciu, w wieku od lat dwudziestu wzwyż, 80 alkoholików z którymi nie zdołał sobie poradzić ani przychodnie antyalkoholowe, ani szpitala psychiatryczne. Ci właśnie przybywają tutaj, do Zakładu Leczenia Odwykowego dla Alkoholików w Głazie, którego celem istnienia jest — jak głosi regulamin — „leczenie odwykowe w warunkach całkowitej abstynencji oraz rehabilitacja społeczna przy pomocy terapii pracą oraz szeroko pojętej psychoterapii”.

Niektórzy pacjenci przybywają tu z własnej woli i ci mogą odejść jeśli chcą, nie obejmując ich wyżej przytoczony paragraf. Ale ci należą do wyjątków. Większość przywozi do Zakładu milicja z „polecenia sądowego” lub z „nakazu władzy publicznej” spowodowanych rozpaczliwą obroną rodzin przed ojcem czy synem pijakiem. Wielu z tej większości to ludzie, których określa się mianem „szmaty”. Są bezwolni a brutalni, nacechowani, zwłaszcza przy wieloletnim trwaniu nalogu, całkowitą atrofią uczuć. Ich organizmy przeżarte wódką stanowią ruinę (10—15 proc. przybywających do zakładu nie nadaje się w ogóle do żadnej pracy). Wśród wielu występują tendencje samobójcze.

— Alkoholizm jest ciężką chorobą — mówi dyr. Rożciszewski. Tak właśnie traktuje on swoich podopiecznych, jako ludzi chorych, i może dlatego cieszy się ich sympatią. Chociaż zdarzyło się i tak, że jeden z pacjentów rzucił się na dyrektora, i gdyby personel nie przyszedł mu z pomocą...

Pracowników tego rodzaju zakładów musi więc cechować

nalisci. Zakład, wyłączając jedynie chorych na gruźlicę i syfilis, przygarnia wszystkich potrzebujących.

Rekrutują się oni z różnych warstw społecznych, są między nimi i posiadacze dyplomów uniwersyteckich i biekłokrwiści, przeważa jednak element robotniczy. A wszyscy są — mężczyźni. O ile kobietom wystarczają odpowiednie oddziały szpitali psychiatrycznych, o tyle dla mężczyzn musiano otworzyć, poza Głazem, jeszcze cztery zakłady lecznicze tego typu: w Wirowie (woj. warszawskiej), Morawicy (woj. kieleckiej), w Wołkowicach k-Namysłowa i w Sancygniewie (pow. Pinczów).

Zakład Leczenia Odwykowego dla Alkoholików w Głazie

KRYSTYNA WOJTASIK

GŁAZ

Istnieje trzy lata. Okres czasu zbyt krótki, aby statystyki tam prowadzone były całkowicie miarodajne. Należy jednak je uwzględnić. Głaz, one, że po pobycie w Zakładzie, który trwa przeciętnie 9—10 miesięcy, 25—30 proc. pacjentów wychodzi całkowicie wyleczonych, z tym, że ich dalsze losy nie zawsze są Zakładowi znane. Statystyki odnotowują również dość częste recydywy.

— Jest to zjawisko — jak twierdzi dyr. Rożciszewski — zawinione w znacznej mierze przez bliższe i dalsze otoczenie rekonwalescenta. Zdarza się bowiem nierzadko, że żona wita powracającego z Zakładu męża kieliszkiem wód-

Sprawa nie zawsze kończy się powrotem do Zakładu. Ludzie, którzy przeszli leczenie odwykowe, potrafią często pić rozsądnie. Niebezpieczeństwo recydywy istnieje jednak zawsze. Dla chorego jest to największym, dla Zakładu stanowczo największym i najbardziej destrukcyjnym. Wobec widoku bezcelowości wysiłków opadają ręce lekarzom i pielęgniarkom. Obcowanie z recydywistami zniechęca pacjentów do kuracji, której większość przecież poddaje się ulegle.

— Recydywiści winni być odseparowani od pozostałych pacjentów — mówi dyr. Rożciszewski — należy utworzyć dla nich odrębny ośrodek, wyłączone dla przypadków bez-

rzę” w nią, wyniki osiągane przez Zakład są na pewno gorsze. Wyniki — czyli ludzie przywróceniu życia, społeczności i rodzinie.

A przy tym samo leczenie nie należy do rzeczy łatwych — dla obu stron. Jest ono przykre zwłaszcza w pierwszych dniach dla pacjenta. Organizm alkoholika pozbawiony dawki alkoholu nie może funkcjonować normalnie. Pacjent odczuwa dolegliwości psychosomatyczne. Występuje drżenie rąk, ogólne osłabienie, bicie serca, depresja psychiczna. Są to objawy tzw. głodu alkoholowego. Podczas jego trwania czyli przez przeciąg 3—4 dni, podaje się leczonemu środki nasercowe i uspokajające. Potem „głód” mija, część przykrych objawów zanika, lekarstwa podaje się nadal wraz z „anticolem”. Działanie „anticolu” srodka „obrzyszającego” alkohol może być niebezpieczne, jeśli pacjent gdzieś po kryjomu napije się wódki, czasem nawet dla życia. Pacjenci są o tym uprzedzeni. Mimo to zdarza się, przeciętnie raz na sześć tygodni, tego rodzaju wyskok alkoholowy, jak to nazywa dr Rożciszewski. Szybka pomoc lekarska jest wówczas niezbędna.

Zakład zapewnia pacjentom nie tylko opiekę lekarską, mieszkanie, wyżywienie i odciecz, oczywiście przydzielone na czas pobytu. Mają oni jeszcze możliwość zarobku w ramach terapii pracą. Istnieje w Głazie warsztaty: ślusarski, stolarski, krawiecki, bambosznicy. Utworzona została brigada remontowo-budowlana, która w swoim zakresie pracuje nawet czasem poza terenem zakładu. Rolnicy z zawodu lub z zamiłowania mają do dyspozycji 86 ha gruntów uprawnych należących do Głazu.

Zarobki idą częściowo na potrzeby lecznicy, częściowo samego pacjenta i jego rodziny. Zdarza się czasem, że syn lub żona otrzymują tutaj pierwszy od lat upominek: ciepły płaszcz, buty.

Praca nie jest w Zakładzie obowiązkowa. Pracuje ten, kto chce. Ci, dla których praca moralna, jedynie dostępna dla personelu opiekunczego, lub chęć zarobku stanowią zbyt słabe bodźce, potrafią całymi dniami włożyć się po podwórzach zakładowych lub leżeć na łóżkach wstając jedynie wieczorem, kiedy w telewizorze można obejrzeć film. Bo telewizor jest tu także.

Obok radia, biblioteki, świetlicy z ping-pongiem, bilardem i gazetami, służy on zaspokojeniu czy raczej budzeniu kulturalno-rozrywkowych potrzeb pacjentów. Amatorzy rozrywki sportowych mogą również pograć w siatkówkę, często partnerując samemu dyrektrowi.

Po kilku partiach siatkówki dyrektor był zmęczony. W wieczornym obchodzie ofiarowała się zastąpić go lekarka, jego żona. Poszliśmy razem. Sal jest dużo i są do siebie podobne. Wszędzie łóżka, słabe elektryczne światła i — oni. Tylko na niektórych ścianach powieszono z „Ekranu” kolorowe fotosy aktorek, a na niektórych — nieliczne — nocnych stolikach zdjęcia dzieci, żony, matki, fotografie ślubne. Ustawione w równe rzędy, troskliwie oprawione w ramki, stoją zwrócone twarzami ku łóżkom rzych właścicieli.

Potem w ambulatorium udało mi się zamienić kilka słów z jednym z pacjentów. Patrzył na mnie wytrzeszczonymi oczami, w których nie było nic prócz nienawiści.

— To szubrawcy — szeptał. — Kanalie, a ja muszę z nimi razem dzień i noc, dzień i noc... Choćby w komórkę ale sam. Ukradli mi organki, nie oni, ci w pociągu.

Po jego wyjściu lekarka wyjaśniła:

— Nasz grakek zostawił te organki razem z płaszczem i teczką w pociągu kiedy wracał z urlopu do Zakładu, Był pijany.

Znałam kiedyś jednego z tych ludzi. Zdawał wówczas maturę miał śliczną, dziewczęcą i niewinną twarz. Pomiędzy tamtą twarzą a szubienicą, którą zaimprovizował dla siebie na gałęzi drzewa w zakładowym ogrodzie nie ma żadnego logicznego związku. Tylko wódka.

Był już właściwie wyleczony i miał dwadzieścia osiem lat.

Ale nie dlatego odwiedziłam Głaz.



ZBIGNIEW NIFNACKI Walek Judaszów

Albert zdjął maskę. Pędził z szybkością dwięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Wyslizgana szosa lśniła jak szkło. Nad rozpalonym asfaltem leciutko drgał żar; upałem wionęło do kabiny szoferskiej. Nad brwiami rozebranego do kuszuli Alberta zbierały się krople potu. Strząsał je wierzchem lewej dłoni, za każdym razem spoglądając na zegarek. Wskazówki biegle leniwe, jakby znużone gorącem.

Odwracając głowę, widział Albert kątem oczu szybką oddzielającą go od wnętrza wozu. Tam czuwał Rokita ze „stenem” na kolanach. Lufa peemu mierzyla w plecy Alberta. Pod plandeką ze znakiem Czerwonego Krzyża jeżyły się lufy karabinów maszynowych, moździerzy, trzy dzieciści par rak w każdej chwili gotowe było nacisnąć spu-

sty pistoletów i karabinów, rzucać granaty. Albert wioził ładunek równie niepokojący i niebezpieczny jak dynamit. Eksplozję mógł spowodować najbliższy przypadek, zwykły patrol wojskowy kontrolujący jakiś odcinek trasy. Niebezpieczeństwo groziło w każdej chwili i z każdej strony.

Oto mijając uliczki jakiegos miasteczka rozpedzony „Zis” Alberta o mało nie zderzył się z obladowaną skrzynią ciężarówką. Oto na skraju malej brzezinki nagle pojawiło się na szosie kilku-nastu żołnierzy radzieckich. Stanęli tyralierą w poprzek szosy. Byli zmęczeni pieszą wódrówką, chcieli żeby ich podwieźć do miasteczka odległego o dziesięć kilometrów. Albert przyhamował, a kiedy zabiegli od tyłu żeby wskoczyć pod plandekę, dodał nagle gazu i rzucił wóz do

przodu, nieledwie potracając jednego z żołnierzy.

— Majorze — zagadał przez okienko Rokita. — Opowiadano mi, że w miasteczku chcieliście uchodzić za historyka. Podobno z profesorem Ramuzem prowadziście uczone dysputy. To bardzo śmieszne. Od razu widać, że nie macie zielonego pojęcia o robocie konspiracyjnej w naszych warunkach. Za subtelne to, za misterne jak na Polskę. Tak misterne, że aż podejrzane. To dobre pewnie do szpiegowskiej działalności w krajach gdzie nie było pracy konspiracyjnej na skalę całego kraju. U nas nie trzeba się aż tak maskować.

Albert wzruszył ramionami.

— Być może macie rację — rzekł. — Ale my, z Intelligence Service, kochamy się w koronkowej robocie.

— I dlatego Raczynskiej chciał pan zapłacić dolarami? — zakpił Rokita.

— To był błąd. Przysięgałem — zgodził się Albert. — Choć z drugiej strony uczyniłem to świadomie. Ciekawiła mnie jej reakcja. Mogła się okazać dobrą współpracowniczką?

— Albo oddać UB.

— No, jakieś ryzyko trzeba ponieść. Ciągłe ryzykujemy. Zanim jednak przysłano mnie na wasz teren, sporo czasu poświęciłem na badanie pewnego człowieka z R., który wpadł w nasze ręce. Opowiadał nam o kilku znanych obywatelach miasteczka, o, na przykład o profesorze Ramuzie. Czy pan uwierzy, że do wiedzieliśmy się nawet takiego szczegółu, jak temat pracy naukowej Ramuza? Ba, ja tę pracę nawet dokładnie przestudiowałem. Przyszło mi to tym łatwiej, że kiedyś bardzo interesowałem się historią. Dlatego może postanowiłem odegrać rolę historyka. Najciekawsze jednak jest to, że temat pracy hi-

storycznej Ramuza szczerze mnie zainteresował. Bardzo ciekawe są dzieje dwóch angielskich szpiegów królowej angielskiej Elżbiety. Jako astrologowie przybyli do naszego kraju, mieli z sobą „kryształowe zwierciadło”. Pod wpływem pewnych zabiegów magicznych, na tarczy kryształowej pojawiały się zjawy. Ale któregoś dnia, gdy astrologowie przebywali w klasztorze w Dąbrowie, ktoś ukradł im cudowne zwierciadło...

— A wie pan, że to rzeczywiście fajna historia — przytaknął Rokita. — No, a kto im ukradł to cudo?

— Nie wiem. Ramuz coś niecoś wiedział o tej historii. Obiecał, że mi zdradzi wyjaśnienie zagadki. Lecz potem zabił go. Bardzo żaluję.

— I am sorry — powiedział Rokita. Była to cała jego angielszczyzna.

Kilka kilometrów przejechali w milczeniu. I znowu zagadał Rokita:

— Zanim tu pana przysłano, o mnie również zaciągaliście jakieś informacje?

— Naturalnie. Przede wszystkim o „nu”.

— I co? Co o mnie sądzi Intelligence Service?

— Jest pan nauczycielem matematyki. Umysł chłodny, precyzyjny, logiczny, choć nie kiedy skłonny do nieodpowiedzialnej i szaleńczej brawury. Umysłowość ma pan podobno dość prostą. Jest pan bardzo podejrzliwy, nieufny, choć niezbyt sprytny...

— Mówi pan jak wróżka — przerwał mu gniewnie Rokita.

— Jak astrolog.

Pomyślał:

„Osiem razy przesłuchiwałem Kurtmana. Uważał się za narzeczonego Ramuzówny, o profesorze mówił z zachwytem. Ale na każdym przesłuchaniu twierdził, że Rokita to duren”.

— Majorze — rzekł zaczepnie Rokita. — Tam w Anglii myślą, że mam „prostą umysłowość”. A jednak to tylko ja pana rozgryzłem. Ta pańska rola historyka nasunęła mi myśl kim pan jest naprawdę. Zaraz sobie pomyślałem o waszej angielskiej mentalności, o waszym wyobrażeniu konspiracji.

Przez pierwszy punkt kontrolny przepuszczono ich bez zatrzymania. Na drugim oddalonym o 50 kilometrów — wartujący żołnierz dał znak przerwania jazdy. Albert zaklął ordynarnie i nacisnął hamulec; ucieczka nie miała sensu, obok wartowni na punkcie kontrolnym stały trzy wojskowe „Willysy”. Przysiadając Albert zrobił w myślach „rachunek sumienia”. Dokumenty wozu były w porządku, ale czy nie wzbudził podejrzenia fakt, że wóz zapakowany żołnierzami prowadziła samotnie oficer i to do tego w stopniu majora? Wystarczy, że zechce zajrzeć głębiej pod plandekę, natychmiast zauważy drobne odmienności w stylu umundurowania, angielskie frence, amerykańską broń, — „stęny” zamiast pepesz. Jeśli od razu nie podniesie alarmu, za chwilę ruszą ich śladem trzy „Willysy” rozdzielające się telefonami i gdzieś tam pod Warszawą zastąpią Albertowi drogę samochody wypełnione wojskiem. Dalej będzie masakra, eksplozja, strzępy ciał w wozie rozbitym granatami...

Stał. Z wartowni wyskoczył oficer.

— Skąd i dokąd? Dokumenty! — krzyknął ochryple. — „Oj głupcze, głupcze, straciłeś rozum?” — przeklinał siebie Albert. Sygnał ręką po zawieszoną na haczyku marynarkę munduru i wolno zajął ją na siebie.

— Dokumenty! — denerwował się oficer.

Rzucił okiem na naramienniki Alberta. Zsalutował,

— Droga wolna, majorze. Przepraszam, że was zatrzymałem, ale byliście w koszu...

Rusząc widział Albert w bocznym lusterku jak oficer beształ wartownika. Potem dostrzegł, że z wartowni wybiegło trzech oficerów, wpakowali się do „Willysy”, który ruszył za wozem Alberta. Dodał gazu i strzałka licznika dotknęła dziewięćdziesięciu. „Willysy” pozostał w tyle i nie próbował ich doganiać.

Rokita odemknął okienko, oddzielające go od kabiny.

— Myślałem, że będzie gorąco... Moi chłopcy w pogotowiu. Jeden granat do wartowni trzy serie z peemów i zostaliby po nich gówna i trepy.

Albert otarł wilgoć nad brwiami.

— Nie trzeba zaczynać. Nie potrafiłbyśmy uciec...

— O, my mamy żelazne nerwy. Tylko z pęcherzami nie w porządku. Przecież nie będziemy robić pod siebie?

Albert wyszczerzył zęby do Rokity. Porozumiewawczo kiwnął głową. W najbliższym lasku skręcił w pierwszą boczną drogę i przystanął, gdy szosa zniknęła za drzewami.

Chłopcy Rokity wygramolili się z samochodów — senni i zakurzeni. Zartując kryli się za pniami drzew. Rokita u-

Jan Nepomucen Miller

mówi

o bezwstydnym poczciowości

Właśnie to jest ten człowiek, który w latach międzywojennych poruszył wiele wybitnych umysłów w Polsce, który porwał się na „szarganie świętości narodowych”, jak to określili niektórzy.

Siedzimy w małej warszawskiej kawiarence przy ulicy Marszałkowskiej (kawiarenka nazywa się „Wiklina”, a zatem nosi nazwę poetyczną — kojarzy się z tytułem ostatniego tomu wierszy Staffa). Na stoliku leży ostatni numer „Przeglądu Kulturalnego” — znak rozpoznawczy, który okazał się zbędnym. Bo kiedy wszedłem do kawiarni, skierowałem się instynktownie w stronę stolika, przy którym siedział ów starszy pan o wyrazistej twarzy i przenikliwym spojrzeniu.

Jan Nepomucen Miller mówi o dawnych latach spędzonych w Łodzi, o swym obecnym życiu w stolicy — a w miarę jak postępują zwierzenia, rysuje mi się coraz pełniej jego sylwetka, i coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że tak zwane „pierwsze wrażenie” jest całkowicie trafne.

To człowiek, mimo podeszłego wieku, bardzo jeszcze żywotny, a przy tym dowcipny, umiejący — to rzadka

cecha u pisarzy — zachować dystans do swej osoby, mówić o sobie niejako „z przy-mrużonym okiem”.

Rzecz jasna, rozmowę nawiązałem przede wszystkim na „okres łódzki” w życiu mego interlokutora.

— Były to lata przed pierwszą wojną światową — mówi Jan Nepomucen Miller. — Nie istniał jeszcze Związek Literatów, ba, nie było nawet jakiegoś kręgu literackiego, z którym można by się spotykać. Przesławałem więc ze społecznikami, co miało ten walor, że jeden nie zwalał tu drugiego, jak to dzieje się często wśród literatów.

„Belfrowałem” wtedy jako polonista w Gimnazjum imienia Orzeszkowej, wygłaszałem odczyty z ramienia — jak to się dzisiaj mówi — Towarzystwa Krzewienia Oświaty. W tym samym gimnazjum wykładała również młoda podówczas poetka Zofia Wójcicka, często spotykałem się z Teofilem Wojciechem. Tuż przed wojną „rodziłem” — pamiętam, że jego siostra, moja uczennica, przynosiła mi do przejrzenia wiersze brata, jako że byłem kandydatem na pisarza. J. N. Miller miał bodaj wtedy na swym

koncie dwie książki i w przygotowaniu obszerny zbiór wierszy — T. G.

Łódź opuściłem w roku 1919, nie znaczy to jednak, że zerwałem z nią więzy. Tak na przykład poeta łódzki, Mieczysław Braun, przysłał mi stałe swoje książki z czułym dedykacją, przyznając się do „ideowego pokrewieństwa”. Ja teoretyzowałem, a Braun był realizatorem wspólnej idei w poezji.

— Mówi pan na pewno o zbiorach wierszy Brauna „Rzemiosła” i „Przemysły”. Innymi słowy — o „Poezji pracy”. Co przyszłoby panu przy tworzeniu takiej idei?

— Widzi pan, urodziłem się i wychowałem w Łodzi, gdzie bardzo żywy był — i chyba jest do tej pory — kult pracy, a którego na przykład nie mogę dopatrzeć się w Warszawie. Ojciec mój był maszynistą kolejowym — mam dotąd przed oczyma jego postać, jak zimą wracał do domu zmęczony, pokryty skorupą lodu. To właśnie w tamtym czasie nabrałem szacunku dla ludzkiej pracy.

— A lata później, już po wyjeździe z Łodzi?

— To studia w Krakowie, a później znów „belferka” w

stolicy. Dwa zbiory wierszy: „Lacrimae rerum” i „Korowód”, a następnie — „Zaraza w Grenadzie” i „Na gruzach Grenady”.

Mój szanowny rozmówca uśmiecha się w tym miejscu. Odpowiadam mu również uśmiechem: właśnie, wiele żartów dyskusji, owe nieszczęsne „świętości narodowe” itd. itd.

— Czy pan pozostał wierny poglądom, wyłożonym w tych dwóch głośnych niegdys książkach?

— Jak najbardziej. Mam przygotowane do druku dwa tomy esejów z zakresu literatury i zagadnień kulturalno-społecznych. Nazwałbym te esaje „Bez kropki nad i”, a są one prozą kontynuacją, tych dawnych poglądów, kontynuacją przystosowaną oczywiście do dnia dzisiejszego. Mam jednak trudności z wydaniem tych książek, podobnie jak z tomem esejów teatralnych i z tomem miniatur historycznych, poświęconych „wielkim skalaczom”, wielkim unifikatorom świata.

— Tak, trudności wydawnicze to problem nie tylko warszawski. Jak tak dalej pójdzie, łatwiej będzie skłonić świat niż wydać książkę. Zgubiliśmy jednak chronologię...

— No cóż, w roku 1936 wystąpiłem wspólnie z innymi pisarzami lewicującymi z tzw. deklaracją jednolitego frontu w literaturze. Deklaracja ta zespółła całą ówczesną lewicę literacką przeciwko obojętności i tendencjom, stworzyła jeden front działania, w którym znaleźli się tacy pisarze jak: Kruczkowski, Pułaski, Olcha, Czuchnowski, Wasilewska, Edward Szymański i inni.

— A więc w tym roku mija 25-lecie owej deklaracji. Myślę, że warto, aby o tej rocznicy mówili nie tylko tula, przy stoliku kawiarnianym, i to w tak wąskim gronie. Ciekawi mnie jeszcze, czym zajmował się pan w czasie ostatniej wojny?

— W czasie wojny mieszkałem w Warszawie i działałem w tajnej organizacji „PLAN” (Polska Ludowa — Akcja Niepodległościowa). Organizacja ta miała swoją partyzantkę, a także wydawała konspiracyjny miesięcznik pod nazwą „Rzeczpospolita Ludo-

wa”, którego ja byłem redaktorem.

Muszę się panu pochwalić, że piórem dorobiłem się wyższej rangi wojskowej: do wojny byłem sierżantem, a po wojnie, w uznaniu zasług, otrzymałem stopień majora...

— Tyle pisarz o sobie. Sądzę, że pisarz niepośledniej rangi, i to, przy całym szacunku dla wojska, bynajmniej nie rangi wojskowej.

— Już po powrocie do Łodzi sięgnąłem ponownie po „Zarazę w Grenadzie” — „rzecz o stosunku nowej sztuki do romantyzmu i modernizmu w Polsce”.

— Ta książka niewielka — pisze w wstępie autor — zdradza może pod osłoną krytyki zarys tych poglądów, o które tak dalece, bezczelnie, zagłuszone jarmarcznią kląką poetyckich zapasów, z kneblem na ustach, w straceńczym osamotnieniu walczyłem w swej poezji. Może w tej formie uda mi się przedrzeć przez tę koncepcję życia, której radbym zabezpieczyć zwycięstwo. Idzie mi o zmianę indywidualistycznego podporządkowania sobie świata zewnętrznego na społeczny punkt widzenia. O to, by poeta przestał być kapryśnym dobroczyńcą, który w chwilach szczególnej filantropijnej łaskowości raczy się zniżyć do tłumy i dzielić z nim swym dobytkiem, torować mu drogę, wskazywać i wieścić.

— Łatwo się domyśleć, jaką reakcją, zwłaszcza wśród twórców, wzbudziło podważanie ich „wieszczego posłannictwa”.

— Nie tylko jednak w sprawach sztuki występuje Jan Nepomucen Miller na kartach swej książki. Polemizując z krytykami, którzy na czoło twórczości Mickiewicza wysunęli „Pana Tadeusza”, rzekomo epopeję narodową, a w rzeczywistości — sielankę liryczną zmęczonemu życiu poety, autor rozprawki pisze:

„Tak, czytelniku, przynajmniej się do grzechu, nie chodzi tu wcale o „Pana Tadeusza”, lecz o formę życia, wiodącego w przyszłość, o celową pracę narodu. Odwracanie się od życia, romantyczna walka z cywilizacją, kulturowanie prostoty i poczciowości, mogącej się zdobyć tylko na westchnienia i

wypominki — nie może być obrazem życia narodu, poczuwającego się do wielkiego posłannictwa dziejowego.

Nie spisek zaborców zgubił przecież Polskę, nie zdrada Targowicy, lecz „człowiek poczciowy”, który umywa ręce od zabiegów świata, poprzestając na małym, pewnym swojej cnoty, stałków i baczenia. Nie ma nic bardziej bezwstydnego od takiej poczciowości”.

Myślę, że sprawa jest jasna. Takie poglądy musiały doprowadzić do ataków na ich głosiciela. Nie mógł on zresztą czegoś innego oczekiwać. Wystąpił ze swą książką w czasie narastającego obskurantyzmu, nasilenia się dętych hasel; gloryfikowania „prastarych”, sarmackich cech narodowych. W tej sytuacji książka godziła w największe świętości. Kilka lat trwały napaści w pismach na poetę. Trzeźwiejsze, przychylniejsze dla niego głosy, gubiły się wśród wyższych i insynuacji.

Gdy opadła fala oburzenia, Jan Nepomucen Miller wydał drugą rozprawę, zatytułowaną symbolicznie „Na gruzach Grenady”. W książce tej, rozwijając poprzednią teorię, pisze:

„Świat nowoczesny jest wytworem tak niesłychanie złożonego procesu, obejmuje tyle wątków i nici, kół, pasów transmisyjnych myśli, uczuć, woli, materialnej zależności i ustosunkowań, że bez kulturowej najwyższej formy inteligencji, zdolnej do ogarnięcia całokształtu tego procesu, nie podobna się nie tylko rozwijać, lecz ostać”.

Oto z grubsza „mały wykład idei uniwersalizmu”, sformułowany przez człowieka dużej wiedzy i nieprzeciętnego umysłu. Wykład, który nabiera pełnej wymowy dopiero w dniu dzisiejszym.

Jan Nepomucen Miller. Znałca i miłośnik kultury antycznej (jego pierwsze książki to dramaty klasyczne „Erynie” i dytambu „Achilles na marach”), przejęty równocześnie do żywego sprawami kultury polskiej. Postać ciekawa i złożona: walczy z oderwanymi od życia romantykami, a sam jest romantykiem przejętym ideą „mystycznej spójni narodu”, porównania go skrzydłami sztuki i podźwignięcia na wyższe rejony.

Dalszy ciąg ze str. 9

siadł w szoferce, obok Alberta.

— Czy Johnson będzie na mnie na pewno oczekiwał?

— Dogoni nas samochód osobowy, czarny „Packard”. Przez pewien czas będzie on podążał za nami, potem nagle wysoruje się do przodu i stanie. Ja zwolnię biegu, pan wyskoczy z naszego wozu i podeszł do „Packarda”. Wsiadzie pan i pojedzie. Rozmowę przeprowadzicie w pędzącym samochodzie, to jest najniebezpieczniejsze. Pułkownik podwiezie pana aż do lasu niedaleko Garwolina za Warszawą. W międzyczasie ja przeprowadzę „Zisa” przez Warszawę i pod Garwolinę i powtórzy się ta sama scena, co i za Raszynem. Na widok „Packarda” zupełnie zwolnię biegu, pan wskoczy do mojego wozu i hajda do „Zelaznego”, który oczekuje nas pod Zamościem.

— Koronkowa robota.

— My, ludzie wywiadu, kochamy koronkową robotę. Spryt i inteligencja krzyżują szpady z brutalną siłą. Jeden człowiek samotnie prowadzi walkę z armiami przeciwnika.

Silny warkot pochłonił tego ostatnie słowa. Nizutko nad drzewami lasu przeleciał samolot.

Wyskoczyli z szoferki. Samolot, zdawało się wpadł między drzewa, motor tylko gwizdał, wyl, nagle ucichł — za lasiem było lotnisko.

— Do diabła! — zaklął Albert.

Wystarczyło postąpić kilka-

naście kroków i oto lasy kończyły się, a zaczynały betonowe pola startowe. Z boku, o kilkaset metrów stały hangary i kręcili się uzbrojeni ludzie. Chłopcy Rokity, zwabieni wyciem silników wyleźli na skraj lasu i gapili się na długi rząd srebrzystych samolotów.

Wracać do wozu! Natychmiast — darł się Albert.

Wartownicy przy hangarach już ich jednak zauważyli.

— Poszaleliście? Tego lotniska pilnuje co najmniej kompania wojska...

— No to co? Już nieraz z mniejszą grupą rozbijałem kompanię. Zaskoczmy, ich a to decyduje.

Albert szarpnął go za rękaw.

— Natychmiast zbierzecie swoich ludzi. Jedziemy. Znowu chcecie narobić głupstw?

Wartownicy byli coraz bliżej. Zdjeli z pleców pepesze

bert ostrzegawcze okrzyki wartowników.

Silnik „Zisa” zawył, koła buksowały w piachu. Wartownicy pobiegli w stronę samochodu. „Zis” zesnął się z drogi na trawę w lasu, koła trafiły na twardy grunt, wozem rzuciło do przodu. Płasnęła głośna seria z pistoletu maszynowego. To chyba strzelali wartownicy z lotniska. Ale pozostali zbyt daleko. Albert wyjechał na szos-

kard” minął wóz prowadzony przez Alberta. W tym miejscu szosa wspięła się na wysokie wzgórze. Przystanęli w kotlinie, przez którą wylęgła szosa prześakiwała małym mostkiem. Z samochodu Alberta wygramolił się Rokita. Równocześnie otworzyły się drzwiczki „Packarda” i wyszedł z niego mężczyzna w mundurze porucznika. Rokita wsiadł do auta, trzasnęły drzwiczki

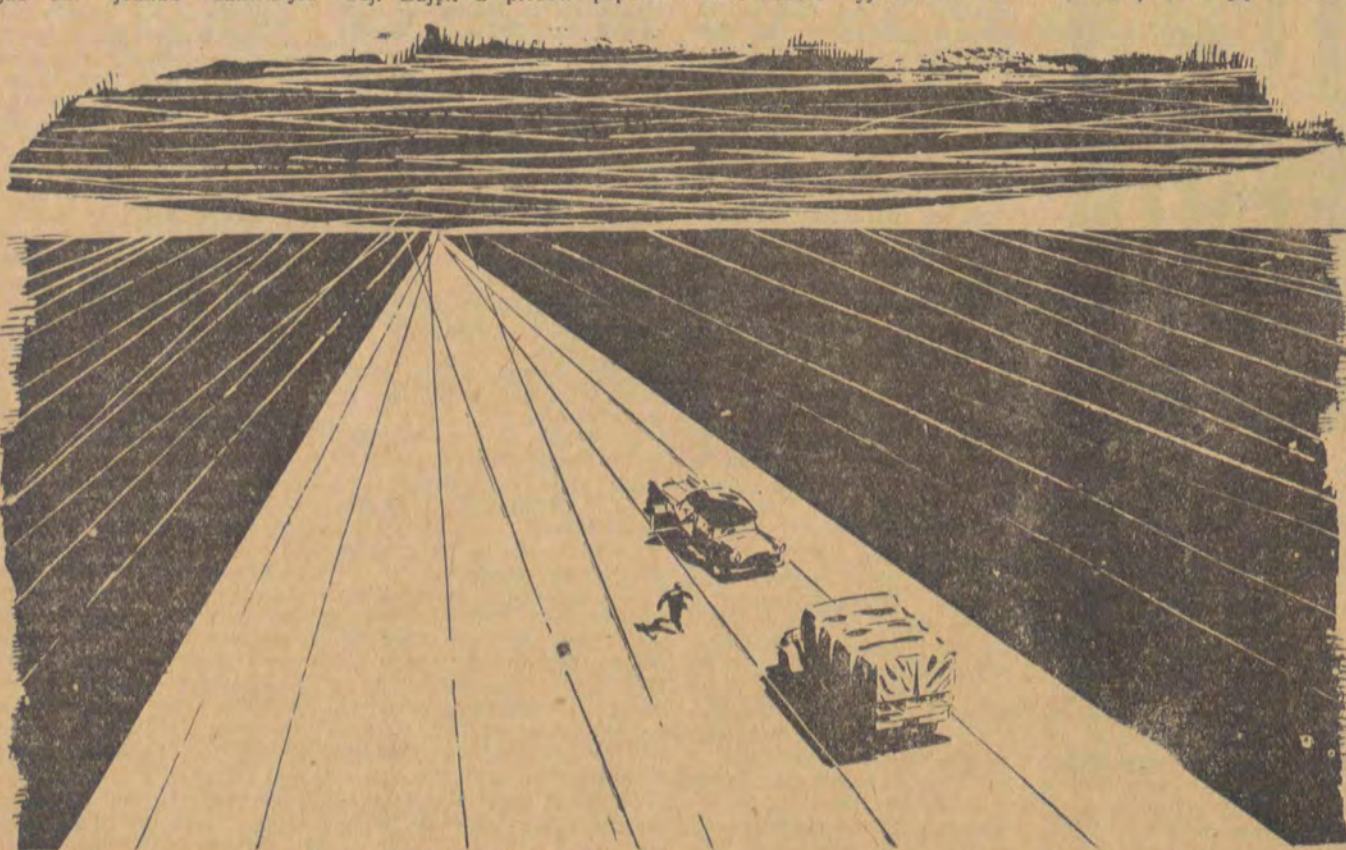
kazał mi przejąć prowadzenie wozu — powiedział.

Albert bez słowa wysunął się z kabiny. Porucznik zajął miejsce za kierownicą. Samochód ruszył. Powoli wlokł się na wzgórze. Czarny „Packard” przeskoczył je lekko i szybko zniknął za równiną grzbiem garbu. Ciężarowy „Zis” zdawał się z trudem zdobywać pochyłość i stojący na szosie Albert jeszcze dość długo widział ogromną budę, w której siedziało trzydziestu ludzi Rokity. Wreszcie jednak i ten wóz osiągnął szczyt wzniesienia. Przez moment jakby się zatrzymał i znieruchomiał na jakimś tle nieba. Potem i on zniknął, zapadł się w kotline.

Nad wylęgłą szosą leciałto drgały struny upału. Koszula przylepiła się Albertowi do pleców, po czole i po skroniach spływały strugi potu. Był upał, asfalt na szosie jakby promieniował żarem. Albert powlokł się na skraj drogi, i usiadł nad porośniętą trawą rowem, kładąc koło siebie marynarkę mundur i czapkę. Nie obejrzał się za siebie słysząc głośny i przenikliwy gwizd opon nad jeżdżącymi samochodami. Wiedział, że zgodnie z planem było to dwa wojskowe „Willysy” i trzy ciężarowe wozy wypełnione uzbrojonymi żołnierzami. Później minęły go jeszcze dwie chłopięce furgonki, a on ciągle tak siedział nad rowem — w rozchylonej koszuli, zgarbiony, z rękami bezwładnie leżącymi na kolanach, z twarzą zmęczoną i zakurzoną — podobny do utrudzonego wędrowca jakich wielu chodząło wówczas po polskich drogach.

KONIEC

POWIEŚĆ ZBIGNIEWA NIENACKIEGO „WOREK JUDASZÓW” JEST DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH DOMU KSIĄŻEK



Dwóch ludzi ruszyło w kierunku lasu.

— Spójrzcie, majorze. Baki z benzyną — sapal Rokita. — Wystarczyłyby dwa, trzy granaty i byłby taki fajerwerk, że Karol Marks w grobie by się przewrócił.

i nadchodzili trzymając je w pogotowiu. Rokita z niechęcią dał rozkaz powrotu do samochodu. Albert zapuścił motor, wówołno ruszył z lasu, chłopcy Rokity wskazywali w biegu.

— Stój! Stój! — słyszał Al-

se. — Uważaj pan, bo zajdziemy do piekła — wołał przez okienko Rokita.

Wszystko odbyło się zgodnie z planem. W pewnej chwili czarny elegancki „Pac-

derwał się do biegu. Albert dostrzegł tylko ręce zasuwające w oknie białe firanki.

Porucznik podeszedł do szoferki i zasalutował.

— Majorze. Pułkownik roz-



Zobaczymy!

W złą godzinę się napięto, czy co u licha? Ledwo zdążyłem sobie zażartować, że prawdziwie przewrotną satysfakcję będą miał wówczas dopiero, kiedy Kazimierz Dejmek do Warszawy się przeniósłszy zrealizuje dla tamtejszej telewizji rozrywkowy koncert, a już — stało się. W czwartek ukazały się poprzednie „Odgłosy” i w czwartek doniosła prasa codzienna, że Kazimierz Dejmek obejmie kierownictwo artystyczne Teatru Narodowego. Dejmka oczywiście szkoda, a nuż jednak u niżej podpisanym tkwi jakaś „siła fatalna” — jeżeli tak, to może uda się parę innych, mniej przydatnych osób wyeksponować do stolicy, albo jeszcze gdzie indziej?

Ale, ale... Ta sama prasa codzienna doniosła nieco wcześniej, że Łódź ma być jednym z podstawowych producentów spektakli tzw. „popularnego teatru telewizyjnego” i że już zabezpieczyła sobie współpracę czołowych twórców, jak Jerzy Antczak, czy właśnie Kazimierz Dejmek. „A na to pan smok zaczął powiedzieć: zobaczmy!” — życzę sobie Jewgenia Szwarca, a zacytowałeś zmartwie się, ponieważ bez tak zwanych „firm” trudno u nas czasami zrobić coś sensownego. Ot, niedaleko szukając, dano mi tygodniutko do zrozumienia, że atak na Lucjana Kydryńskiego był cokolwiek niedyplomatyczny. Nie to, iżby Kydryński był rzeczywiście konferansjerem niezastąpionym, ale że jest bądź co bądź firmą uznawaną, nawet w stolicy. Niech teraz firma obrazi się na Łódź i nie zechce kolejnych prowadzić koncertów, to mo-

że się zdarzyć, iż placet na koncert bez Kydryńskiego nie zostanie nam dane.

„Jak nie ma Północy, to nie ma nic” (Galczyński), stowem jak nie będzie Kydryńskiego, to może w ogóle nie być ani muzyki rozrywkowej, ani muzyki poważnej, ani nawet muzyki przyjemnej.

„A to my zo-ba-czy-my, oznajmił smok. To się pokazuje, zobaczmy zarys nasz staruszek. Nasz smoczek zagrzmiat: zobaczmy, i niech to wszyscy diabli! I my faktycznie zo-zel baczmy, tra-la-la!”

Zobaczmy. Na razie srogi sprawozdawca „Dziennika Łódzkiego” zobaczył, że ze swoją opinią o „Gwiazdce z gwiazdami” pozostał w zupełnej mniejszości — nie tylko inne głosy prasy były raczej przyjemne, ale nawet koncert został powtórzony w ubiegłą sobotę, co nie tak wielu łódzkim audytorom się przytrafiło. Oczywiście, jakiegoś znaczenie ma i to, iż był to program świąteczny, a programy tego typu powtarza się niemal z zasady — niemniej taka zupełna „chwała” to nie mogła być i zresztą nie była, mimo odnośnych gromów odnośnego sprawozdawcy.

Charakterystyczne, że Łódźka audycja weszła na godzinę zaplanowaną dla powtarzania warszawskiej „antyszopki” noworocznej (nawiasem mówiąc zgodna opinia głosi, że najlepszym punktem noworocznego programu było jednak... specjalne wydanie Polskiej Kroniki Filmowej. (Co zaś będzie z szopką — mocno ponoć nudną — nie wiemy...)

J. PANASEWICZ

List w sprawie twarzy

Czy widz ma prawo do twarzy aktora? Czy widz może się przywiązać do aktora, który przez jakiś czas grając określone role, postacie o podobnym typie charakteru: komisarzy policji, czy złodziei, łowców, czy ludzi złamanych życiem, żołnierzy lub szpiegów... połączył w wyobraźni widza ich cechy ze swoją twarzą, sposobem bycia, mówienia, zachowania?

Wiadomo, że Gregory Peck w filmach bywa zawsze człowiekiem szlachetnym, że Gerard Philipe jest uwodzicielem, wiadomo też że Józef Nowak, poprzez serię filmów politycznych stał się niejako syntetyczną postacią polskiego działacza partyjnego; od pierwszych kroków w „Celulozie” do „Milczących śladów”. Wiesław Gołas po „Ogniomistrzu Kaleniu” na długo pozostanie w pamięci widza tragiczną, bohaterską postacią... Czy jednak długo?

Czy widz ma u nas prawo do twarzy aktora, do zachowania jej pamięci takiej, jaka najbardziej mu w pamięć zapadła? Tego prawa u nas nie ma. Na ogół nie ma, bo tylko Nowak trzyma się swojej linii. Reszta nie. Szczytem wszystkiego był właśnie Gołas w „Antyszopce” sylwestrowej. Rzecz o aktora jest grać to co mu napiszą. A że satyrycy warszawscy lubią bić we wszystko z jednakową grzączą ironią, walić w czambuł, po oczach, na zgrywę zobaczyliśmy właśnie Gołasa-Kalenia w parodii wojskowej. Autorzy szpoki znaleźli w tym zapewne dodatkowy dowcip, ale jakiej próby? W kinach jednocześnie idzie „Kalen”. Film jest dobry i ma jakiś wydźwięk, zostawia w duszy widza uczucia szacunku dla żołnierza, który zginął w walce z bandami UPA. Ten żołnierz ma twarz Gołasa. I ten w szopce też jest Gołas. Żywy. Nie kukła.

Problem jest oczywiście szerszy, a polega na tym, że grono naszych aktorów filmowych i telewizyjnych jest właściwie wciąż to samo. W telewizji ci sami aktorzy zmieniają tylko peruki na fryzury a la Jul Bryner. Byle interes szedł. Teatr telewizji zamknął się w ciasnym światku tych samych twarzy.

Jak się zdaje nawet repertuar tego teatru dobierany jest, może podświadomie, pod posiadaną grupę aktorską. Hanuszkiewicz, Holubek, Czechowicz, Gołas, Jędrusik, Kraftówna — to na pewno nazwiska znakomite, ale czy telewizja postarała się o to by ściągnąć do studia jakiegoś ciekawego aktora np. z Zielonej Góry, Częstochowy, czy Białegostoku? Czy w końcu pomyślała o tym, że środowiska prowincjonalne mogłyby same, na zamówienia telewizji przygotować widowskie dla TV, które potem można by tylko doszlifować w studio i puścić w eter. Powstałby może teatr popularny. Trzeba powiedzieć śmiało, że na teatr telewizji patrzy się dziś jak na Parnas bo to i nazwiska znane i sztuki dla przeciętnego telewidza dość trudne. Wydaje się, że grono aktorów telewizyjnych należy poszerzyć, że właśnie telewizja mogłaby zajrzeć w teren, że może wydobyć stąd na światło dzienne wiele talentów, którym się to na pewno należy.

Wtedy też, nie byłoby może faktów aż tak żenujących jak podana tu dla przykładu historia z Gołasem. Nie upieramy się ostatecznie przy tym by Gołas grał tylko żołnierzy, bądź funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa, ale skoro sobie te role umiłował chyba w jego interesie leży by dzieciaki bawiły się w Gołasa tak jak w Zorro. No i w końcu widz też ma prawo mieć zaufanie do twarzy aktora. Ma czy nie ma?

LESZEK SKRZYDŁOWSKI
„OSIEDLE MŁODYCH”



a taka będzie obsada, ten i ten reżyseruje. Chodzi o uczciwa i z otwartą przybitą, a nie o przesłizgnięcie się ze swym dziełem przez program tak by recenzent nie zauważył.

Tygodniki literackie poświęcają się raczej krytyce wybranych pozycji programowych, bądź też generalnym dyskusjom nad wybranymi problemami telewizji. One bezpośrednio nie zachęcają widza do oglądania, nie chcą go też w programie wprowadzać za rączkę. Taka rola jest w końcu właściwa.

Prasa codzienna również sporo uwagi poświęca telewizji jednak rzadko która gazeta posiada już wyrobionych, znających się na rzeczy recenzentów.

Nie wyczerpaliśmy tu bynajmniej tematu, któremu na imię: „telewizja w polskiej prasie”, ale możemy przystąpić do rozwiązania problemu czy musi u nas powstawać aż oddzielne pismo telewizyjne, skoro nie można narzekać na brak łamów i chętnych piór w wielu redakcjach krajowych. Wydaje się nam, że powoływanie do życia jeszcze jednego pisma nie jest jeszcze konieczne, natomiast na pewno trzeba będzie stworzyć przy centrali telewizyjnej jak i przy ośrodkach regionalnych komórki prasowe, które dostarczą gazetom i tygodnikom odpowiedniego materiału i zdjęć. Jeszcze raz podkreślamy, że nie jest to wyłącznie sprawa dobrych chęci, ale obowiązek TV wobec telewidzów.



W ubiegłą środę telewizja warszawska nadała monodramat Kena pt „Sammy”. W roli tytułowej wystąpił Zbigniew Cybulski. Spektakl, który był jeszcze jedną próbą wytrzymałości zarówno widza jak i jednego aktora, który musi go utrzymać w napięciu — stał się pełnym sukcesem realizatorskim Jerzego Gruzdy i aktorskim Zbigniewa Cybulskiego.

TELEWIZJA USA kupuje nasz FIS

W Warszawie podpisano umowę między komitetem organizacyjnym FIS i jednym z amerykańskich товариств telewizyjnych — FTTN. Na podstawie umowy telewizja amerykańska wykona 55 minutowy program z FIS w Zakopanem i nada go w programie telewizyjnym Południowej i Północnej Ameryki oraz Australii.

Co donosimy za „Expressem Wieczornym” ciesząc się oczywiście okropnie, choć o ile się znamy na tego typu transakcjach, gdybyśmy sami byli w stanie przygotować taki program i dopiero go sprzedać, zarobiliłbyśmy o wiele więcej.

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK, 11 BM.

17.00 — Program dnia (Ł), 17.05 — Program dla dzieci starszych: Czy to bajka czy nie bajka (W), 17.50 — Program publicystyczny (K) 18.20 — „Nie tylko dla pań” — magazyn (W) 18.55 — Sonaty Beethovena w wykonaniu Bolesława Woytowicza — fortepian (K), 19.30 — Dziennik TV (W), 20.00 — Program z cyklu: „Kartki z naszej historii” (W), 20.35 — PKF (W), 20.45 — Teatr „Kobra” — „Dom na jeziorze” — widowisko sceniczne wg scenariusza Stefana Halborna — reżyseria Michał Bogusławski (W), 21.40 — Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK, 12 BM.

17.20 — Program dnia i tygodnia (Ł), 17.35 — Program tygodnia (W), 17.50 — Spożycie i opinie (Ł), 18.25 „Znak Zorro” — VII odcinek filmu prod. USA (W), 18.55 — Wszelchnia TV: „Wielec biologiczny” — z cyklu: „Człowiek i jego dzieło” (W), 19.30 — Dziennik TV (W), 20.00 — Program publicystyczny pt. „Jasny zwiast” (W), 20.30 — „Pod gwiazdą trybistka” — film fab. prod. polskiej (W), 22.25 — Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA 13. BM.

11.00 Dla szkół, Geografia z cyklu „Krajobrazy i ludzie świata”, 11.30 Perzawa, 16.30 Program dnia, 16.50 Miś z okienka, 17.05 „Poręcznik Jardy” — film fab. prod. radz.-jug. 18.55 Publicystyka kult. 19.30 Dziennik telewizyjny, 20.25 (Ł) Przed premierą, 20.25 „Przygody Casanova” — film fab. prod. francuskiej, 22.05 PKF, 22.15 Ostatnie wiadomości, 22.20 Miś — program rozrywkowy.



str.
11

W sprawie dostępu do kuchni

Dyskutowana jest obecnie sprawa powołania do życia osobnego pisma poświęconego w całości zagadnieniom telewizji. Zanim przedstawimy nasze zdanie na ten temat, przyjrzyjmy się jak obecnie wygląda prasa telewizyjna w kraju.

Przed wszystkim wychodzi jeden tygodnik zajmujący się zapowiadaniem programu radiowego i telewizyjnego — „Radio i Telewizja”. Czy spełnia on zadania pisma poświęconego popularyzacji określonych pozycji programowych, wprowadzania słuchacza i widza w epokę, w problemy, wreszcie czy zapoznaje go z autorami sztuk, filmów, kierunkami literatury i teatru, słowem, czy stanowi jakiś, używając określeń teatralnych — „program” i przewodnik po programie?

Wydaje się że w wypadku „RiT” pokutują stare grzechy dawnego pismaka „Radio i świat”. Jest to pismo Komitetu Do Spraw Radiotelefonii „Polskie Radio”, naświetla więc wszystkie sprawy z punktu widzenia interesów redakcji i telewizji. Ale wybaczymy piśmu pozycje recenzencko-krytyczne. Nie łanujemy mu jednak tego, że właśnie główne zadanie tego typu tygodnika — omawianie perspektywicznych pozycji programowych, ich po-

pularyzacja zanim jeszcze ukaza się na antenie TV — nie jest realizowane tak jakby należało. Być może, to wina płynnego wciąż programu z jednej strony, i dwutygodniowej rotacji tygodnika, a więc składania materiałów gdzieś chyba trzy tygodnie przed ukazaniem się w druku. To wszystko nie sprzyja roli, jaką pismo mogłoby i powinno odegrać. Tyle o „RiT”, jedynym tygodniku telewizyjnym.

Jest jeszcze drugi, który z nazwy chce być magazynem filmowo — telewizyjnym. To „Ekran”. I trzeba przyznać, że mu się to udaje. Pismo dysponuje znacznymi możliwościami ilustracyjnymi i oczywiście znacznie większą ilością materiałów od „RiT”. „Film” oraz tygodniki ilustrowane jak „Panorama” i „Panorama Północna” prowadzą stałe działy telewizyjne cierpiące jednak na to samo co i inne tygodniki, np. „Odgłosy” — na chroniczny brak informacji z telewizyjnej kuchni o przygotowywanych tam daniach. Z telewizji trudno te informacje wydobyć, bowiem jest to instytucja pełna przesadów i „przesadnej skromności”. A przecież nie o skromność chodzi, tylko o rzetelne poinformowanie telewidza, że w tym tygodniu czeka go to i to, taka

Remanenty sylwestrowe

BAL w OPERZE

Pewien pan (nie muzyk), wybierając się na bal w nowym gmachu Opery Łódzkiej, przywdział frak. Na miejscu okazało się, że wystąpił w tym stroju jako jedyny uczestnik balu. Nie przejmował się zbytnio rolą „odmieńca”, ale do czasu. W trakcie balu podszedł do niego inny pan — osobistość znana w świecie muzycznym — i zapytał: — Dlaczego pan jest we fraku?

— A dlaczego mam nie być — inteligentnie odpowiedział zapytany.

— Bo to przecież strój służbowy.

Oto, do czego doprowadza „skrzywienie profesjonalne”. Czyżby rzeczywiście było nie taktem zjawić się we fraku na balu muzyków. Może...

BAL w GROTNIKACH

Dzięki uprzejmości szkoły nr 96 w szkolnej siedzibie kolonijnej w Grotnikach, Klub Studentów Łodzi mógł urządzić dwudniowy weekend noworoczny. 50 osób zażywało sielanki aż do chwili, kiedy tuż przed północą 31 grudnia zjawili się dwóch miejscowych młodzieńców oświadczając, że im się to wcale nie podoba. Zanim odeszli z kwitkiem, zdążyli podbić oko jednemu ze studentów, po czym powrócili z posiłkami i przy pomocy kamieni oraz butelek rozpoceli regularne obłożenie budynku. Zdążyli wybić około 20 szyb, zanim studenci znaleźli zapasowe wyjście z tyłu. Jednego z chuliganów ujęto, trzymano pod strażą 3 godziny i po wydobyciu personaliów całej ekipy — wypuszczono. Milicja przybyła o świcie.

JAK TO MIŁO, MIŁO w ŚCISKU! (?)

Każda moda łączy się ze ścisłością. Do takiego wniosku doszliśmy obserwując, jeden z najmodniejszych w tym roku, bal sylwestrowy — w KLUBIE TENISOWYM. Wszystko było świetnie, ale ciasno zorganizowane. Jak mówią skłonni do przesady złośliwcy, na 1 cm kw. wypadł jeden człowiek.

W salach na parterze budynku, stały ślicznie zastawione stoły, ale do tych znajdujących się w głębi — nie można się było docisnąć. Potrawy konsumowano więc stojąc w drzwiach, talerze — wzorem latających, przesyłano ponad głowami sąsiadów.

Na pierwszym piętrze, tańczący, niektórymi wypukłościami dotykali stołów biesiadnych. Parkiet bowiem był na bity jak tramwaj w godzinie szczytu.

Kiedy o dwunastej — ku rozrywce gości, zgasiło światło, nie bardzo wiadomo było kogo całować, a kogo tylko poklepać.

Przyjaciele organizatorów balu twierdzą, że już w planie zaplanowano 70 ponadplanowych — w stosunku do rozmiaru lokalu, osób.

Organizatorzy liczyli, że goście będą na tyle wygimnastykowani (bądź co bądź KLUB TENISOWY), aby opanować własnym ciałem jak tenisową rakieta, a partnerami jak piłeczka.

I faktycznie tak było, ale dopiero około drugiej, trzeciej nad ranem. Wszyscy balansowali miękko i płynnie, elastycznie odbijając się od siebie nawzajem.

Zresztą wiemy już z „Wesela”, że niektórzy lubią tłok. Jedną z bohaterek wykrzykuje przecież: „jak to miło, miło w ścisłości”...

ODGŁOSY tygodnia

7:5

Siedem do pięciu. Matematycznie rzecz biorąc tak właśnie kształtują się proporcje między ilością lekarzy a kozetek w NPL.

NPL — Nocna Pomoc Lekarska to nowa, powstała przed trzema miesiącami placówka łódzkiej służby zdrowia. Udziela pomocy tym (tel. 444-44), którzy nie kwalifikują się do pogotowia ratunkowego — nie ulegli nagłym wypadkom, ale nie mogą czekać do rana na lekarza rejonowego.

NPL zatrudnia 7 lekarzy, którzy co noc kursują na trasie: mieszkanie chorego wzywającego pomocy — budynek Pogotowia Ratunkowego przy ul. Sienkiewicza 137. Tam bowiem znajduje się baza wypadowa NPL.

Baza raczej skromna i męcząca — jeden pokój niewielki, z pięcioma kozetkami ustawionymi przy jednej ścianie w szeregu. Jeśli się więc zdarzy, że akurat nie ma wizyt, siedmiu startuje do pięciu...

Dyrekcja Pogotowia Ratunkowego, która jednocześnie kieruje NPL, tłumaczy salomonowo: kozetki są do siedzenia, do odpoczynku. Tu się nie śpi, tu się jeździ. A poza tym... nie mamy miejsca. Choćbyśmy chcieli wstawić...

Dodajmy do tego, że pokój lekarzy NPL oddziela od pokoi lekarzy Pogotowia Ratunkowego szklana tafla — ni to drzwi, ni to ściana. Jak jedni zapalają światło, drugich krew zalewa ze złości i odwrotnie. Polemiki się zdarzają, jak to w wspólnym mieszkaniu.

W ramach istniejących możliwości, proponujemy:

- zasłonić szklaną taflę jakąś kotarą;
- ustawić parawan, żeby leżące mogły przynajmniej rozpiąć spodnice, a lekarze zdjąć buty — w obecnym stanie rzeczy nawet te drobne udogodnienia w międzywizytowym relaksie są kłopotliwe;
- pomyśleć o przyjemniejszym urządzeniu wnętrza pokoju dyżurujących — obecne przypomina poczekalnię dworcową;
- o czajniku do gotowania herbaty czy kawy;

To nie altruizm nami kieruje. Egoizm. Wypoczęty lekarz z większym petyzmem podejdzie do pacjenta. Zmęczony — powie: „nie narzekaj pan, ja sam ledwo żyję”.

GDYBY 220...

Nierzadki to widok, spotkać w jakimś biurze maszynistkę, która... nie umie pisać na maszynie. Kursy maszynopisania corocznie kończy w Łodzi około 60 kobiet, zaś łódzkie instytucje na etatach maszynistek zatrudniają około 5 tysięcy osób. Spośród nich tylko około 1,5 tysiąca potrafi przekroczyć minimum kwalifikacyjne w postaci 180 uderzeń na minutę (wyniki mistrzowskie — ponad 500 uderzeń).

Przed dwoma laty przeprowadzono weryfikację 950 maszynistek, zatrudnionych w łódzkich centralnych zarządach i zjednoczeniach. Choć te urzędy „wysokiego szczebla” z natury rzeczy mają najlepsze siły fachowe, 30 procent owej „elity” egzaminu kwalifikacyjnego nie zdało.

Prezes łódzkiego Stowarzyszenia Stenografów i Maszynistek — mgr J. Kaczmarek zapewnił nas, że gdyby wszystkie maszynistki osiągały średnio 220 znaków na minutę, wystarczyłoby to całkowicie do zlikwidowania wszelkich założeń papierkowych w urzędach.

WYBÓR WIARY

Mało kto uświadamia sobie, że w naszym mieście działa aż 14 kościołów, zborów, związków i stowarzyszeń religijnych, określanych jako: nie rzymskokatolickie.

Najliczniejsi, bo w liczbie około 4 tysięcy, są wyznawcy kościoła ewangelicko-augsburskiego (czyli luterńskiego). Najmniej wyznawców, bo ledwie około 10, skupia kościół zjednoczonych ewangelicznych chrześcijan dnia siódmego.

Kościółów i kaplic rzymskokatolickich jest w Łodzi 43, zaś pozostałych — 14, plus dwa prywatne mieszkania, z braku lepszych pomieszczeń służące także jako świątynie.

Duchownych nie rzymskokatolickich mamy 21, w tym dwóch proboszczów i jednego wikarego płci żeńskiej (katolicki kościół mariawitów w Polsce). Wśród duchownych jest czterech biskupów, a trzy wyznania mają tu swoje diecezje.

Pięć grup wyznaniowych nie posiada własnych cmentarzy, swoich zmarłych chowają więc na cmentarzach wyznań „pokrewnych”.

Przy całkowitej wolności wyznania w naszym kraju nie nie przeszkadza istnieniu mnóstwa związków religijnych, jeśli oczywiście są zalegalizowane. Jedyny bodaj „zgrzyt” powodowany jest faktem, że niektórzy „nie rzymskokatolicki” świętują w soboty (np. adwentyści i chrześcijanie dnia siódmego). Wiele instytucji ceni sobie takich ludzi, którzy dobrowolnie pracują w niedzielę, byli jednak sporadyczne wypadki, kiedy do rozstrzygnięcia kwestii trzeba było aż pomocy władz miejskich.

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”



Fot: A Kobyliński

CO TO — „RYKA O” ???

Rzeczywiście fascynująco to wygląda. Na dużej, szarej powierzchni budynku przy ul. Wólczańskiej 12, śliczny i tajemniczy napis świetlny „RYKA O”. Dłuższą chwilę przystają łodzianie zadziwieni treścią. A że ulica ruchliwa — tuż koło rogu Zielonej, wieczorem grupki ciekawych dochodzą do kilkunastu osób.

Dobrze, że polskie a więc i łódzkie społeczeństwo przyzwyczajone jest do niezwykłości i rozwiązywania wszelkiego rodzaju zagadek ekonomiczno-gospodarczych. Po chwili zastanowienia można się więc domyśleć, że chodzi o fabrykę obuwia. „Fab” i „Buwia” zniknęło, a to co z reklamy Łódzkiego Zakładów Przemysłu Skórzanego zostało, jest widocznie — skoro taki stan się utrzymuje, według kierownictwa zakładu adekwatne do jakości produkcji.

Jakże często bowiem na widok bucików i ich urody wyrywa nam się z piersi ryk — aaa, oooo!

A więc „RYKA O” — nareszcie prawdziwie uczciwą, reklamą-przestroga.

ROGOŻNO-ZDRÓJ

Dotychczas, jeśli jakieś miejscowości w naszym województwie dodawano do nazwy ów suplement, to wyłącznie na ironię — np. Kozłowski Zdrój. Zapowiadają się wszakże zmiany. Oto w Rogoźnie koło Zgierza geolodzy zdążyli już odkryć sól i węgiel brunatny, a wierząc niestrudzenie dalej, doczekali się niespełna 2 miesiące temu wytryśnięcia tzw. termu siarkowodorowej o temperaturze 25 stopni Celsjusza w ilości 800 litrów na minutę. Taka ilość substancji w zasadzie wystarcza do założenia tam sporego uzdrowiska.

Bieda tylko z tym, że Ministerstwo Zdrowia raczej niewiele na takie cele posiada funduszy. Stłyszeliśmy, że być może do budowy nowych uzdrowisk wkrótce „dokończy” resort geologii. Rozumowanie całkiem słuszne: wywiercili dziurę, niech teraz płacą.

A swoją drogą Rogoźno-Zdrój bardzo by się przydało „pustynnej” Łodzi. Może, mówiąc tym razem całkiem poważnie, koszty urządzenia uzdrowiska wzięłyby na siebie przemysł lekki?

Z SĄDU

ŻYCIE ARTYSTY

W lutym 1961 roku 37-letni Stanisław Kicman (zam. w Łodzi, przy ulicy Tuszyńskiej 9) po opuszczeniu kolejnego więzienia postanowił się zabrać do „uczciwej” pracy.

Posiadając zdolności „artystyczne”, Kicman założył prywatny teatr lalek. Ponieważ nie był człowiekiem drobiazgowym „zapomniał” o tym fakcie powiadomić odpowiednie władze.

Po zaangażowaniu kilku aktorów, lalkowa trupa ruszyła w Polskę. Na każde przedstawienie dojeżdżano wynajętymi taksówkami. Pewne trudności wynikały tylko przy płaceniu rachunków. Kicman tłumaczył się chwilowym brakiem gotówki, wręczał kierownikowi czek, które — jak się później okazało — nie posiadały pokrycia. W podobny sposób postąpił regulując honoraria kilku aktorom.

Ostatni akt spektaklu pt. „Kicman i naiwni” odbył się w... Sądzie Powiatowym dla m. Łodzi. Przez rok małe laleczki, które widziały niejednego cud, czyli kant „artystyczny” korzystać będą z zasłużonego wypoczynku. Dla dyrektora „teatru” będzie to jednak odpoczynek przymusowy.

Redaguje Zespół • Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” • Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 44-79 • Warunki prenumer.: miesięcznie zł 4,-, kwartalnie zł 12,- • Redakcja nie zamawia rekwizytów nie zwraca • Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Listonosze oraz „PUK” „Ruch” — z zastrzeżeniem na „Odgłosy” • Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwińdli 19 • Zam. 19. I A 5